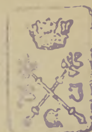
MYŚL NARODOWA



TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 33. WARSZAWA, 30 LIPCA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

MASONERJA I DEMOKRACJA

WYDARZENIA na ostatnim kongresie stronnictwa socjalistycznego francuskiego zwróciły uwagę opinji publicznej nietylko we Francji, lecz i poza jej granicami. Oświadczenia posłów Renaudel'a, Marquet'a, Deut'a i Montagnon'a zawierały bowiem coś więcej niż program współdziałania ze stronnictwami lewicowemi burżuazyjnemi przeciw „prawicy“ i utrzymania w ten sposób rządów kartelu. W mowach swoich posłowie ci zajęli niedwuznacznie krytyczne stanowisko wobec parlamentaryzmu i wypowiedzieli się za oparciem władzy o podstawy trwalsze, niż głosowanie powszechne.

Tu i ówdzie zaczęto z tego powodu pisać nawet o „faszyźmie“ socjalistów francuskich, zaczęto poszukiwać kandydata na dyktatora i t. p. Bliższe przyjrzenie się powyżej zaznaczonym objawom pozwala gdzieindziej szukać ich źródeł. Po pierwsze mają lewicowcy francuscy swoje własne tradycje jakobińskie z czasów Wielkiej Rewolucji, nie mają więc potrzeby szukać wzorów we Włoszech współczesnych, po drugie mają bliskich poprzedników w bolszewikach, którzy są przecież dalecy i od demokracji i od liberalizmu, po trzecie należą kierownicy ruchu socjalistycznego do wolnomularstwa, a — jak się okazuje — w lożach właśnie odbyła się ewolucja poglądów na metody rządzenia państwami.

Ten ostatni czynnik działa bodaj we Francji najsilniej. Oto niedawno ukazał się w czasopiśmie „*La Revue internationale des sociétés Secrètes*“ artykuł o nowej taktyce masonerji. Dziennik „*Journal des Debats*“ tak podaje jego treść:

„Świat masoński jest zaskoczony przez wypadki. Jest zaniepokojony tem, co się dzieje w różnych krajach Europy, jest zaniepokojony zobojętnieniem mas dla starych formuł demokratycznych, zaniepokojony różnemi objawami, które poruszają opinję. Istnienie we Francji i promieniowanie ośrodków narodowych daje do myślenia starym ekipom politycznym, które trzymają w swem ręku władzę, oraz masonerji, manewrującej temi ekipami. Loże myślą o przyszłości i nie chcą być zaskoczone znienacka. Stąd próby sformowania wspólnego frontu wszystkich dawnych partyj politycznych, walka ze wszystkiemi próbami zjednoczenia narodowego i przyjmowanie nowych kształtów dla pociągnięcia mas“.

„*La Revue des Sociétés Secrètes*“ tak konkluduje:

„Rozumiejąc, iż jest dowodem większej zręczności zużytkowanie pewnych wielkich prądów, niż usiłowanie położenia im tamy, masonerja nie zawaha się porzucić haseł demokratycznych, byle zachować władzę w swem ręku“.

Trafność powyższych wniosków potwierdza w zupełności zachowanie się publicystów młodoradykalnych francuskich, którzy wielokrotnie już (zwłaszcza w dzienniku „*La Republique*“) opowiadali się za taktyką „jakobińską“ i państwem autorytatywnem.

Powstanie zresztą prądów podobnych leży w naturze rzeczy i w logice rozgrywających się wypadków. Nacjonalizm ogarnia umysły ludów cywilizacji zachodnio europejskiej, odniósł stanowcze zwycięstwo we Włoszech i w Niemczech. Zagraża rządom masonerji we Francji. Czyż można się dziwić temu, że dla obrony swych pozycyj szuka wolnomularstwo tajemnicy powodzenia przeciwnika i chce go zniszczyć przez przejęcie jego metod. Zresztą robią to loże nie po raz pierwszy w historji — użytkowały dla swych celów monarchów w okresie oświeconego absolutyzmu, opanowywały uzurpatorów tronów dziedzicznych, wykorzystały prądy liberalne i demokratyczne. Dlaczegożby dzi-

siaj w epoce faszyzmu i bolszewizmu nie miały zmienić swej taktyki?

Trzeba się w tem orjentować, trzeba zerwać z poglądem, że metody autorytatywne idą koniecznie w parze z treścią konserwatywną i narodową programów politycznych i społecznych. A jednak istotną różnicę między prądami politycznemi i społecznemi stanowi ich treść, a nie metody działania, których używają. Przecież w metodach politycznych faszyzmu i hitleryzmu z jednej strony, a bolszewizmu z drugiej, jest bardzo wiele wspólnego, a jakże odległą jest treść tych wielkich prądów współczesnych, jakże wprost djametralnie przeciwną?

Zagadnienie metod politycznych jest dziś na porządku dziennym we Francji w związku z odbywającą się tam ewolucją pojęć i stosunków. Krytyka demokracji parlamentarnej podnosi się z różnych stron. Uprawiają ją już oddawna monarchiści z obozu Maurras'a, podjął ją na prawicy republikańskiej p. Tardieu, zaangażowali się w tym kierunku młodoradykali, dziś weszli na tę drogę neosocjaliści. Widocznie rzecz stała się aktualną w opinji publicznej, widocznie dochodzi do głosu młode pokolenie, które nie odczuwa już tak żywo tradycji wielkiej Rewolucji, jak ojcowie!

Lecz zagadnienie to nie jest nowe w Europie. Wypadki r. 1926 w Polsce i r. 1929 w Jugoslawji, gdy się im lepiej przyjrzeć z oddalenia, są bardzo pouczającym przykładem zjawisk analogicznych. Wszak wiemy bardzo dobrze z bliskiego nam i codziennego doświadczenia, iż mimo używania metod „faszystowskich", jeśli się tak wyrazić wolno, nie jest obóz dziś rządzący w treści swego programu obozem nacjonalistycznym (probierzem jego stosunek do żydów). I dopiero w świetle wydarzeń, z których wyszliśmy, pisząc niniejszą notatkę, wyróżnia się cały szereg spraw i zagadnień nam bliskich, których nie zrozumie nigdy ten, dla którego rządy autorytatywne (lub jeśli kto woli dyktatorskie) muszą być z konieczności rządami konserwatywnemi lub narodowemi.

Jeszcze wyraźniej występuje to w Jugoslawji. Wszak jest publiczną tajemnicą, że poza „dyktaturą królewską" w tym kraju stoi masonerja. Nie zawahała się masonerja serbska uciec do metod „faszystowskich", a loże francuskie i angielskie nie zawahały się tej akcji pokryć życzliwem milczeniem, mimo jaskrawej sprzeczności, jaka istnieje między metodami liberalnemi i demokratycznemi, stanowiącemi wyznanie wiary masońskiej, a metodami stosowanemi w Jugoslawji przez panujący tam system rządów. Nic nie zmieniło się w istniejącym stanie rzeczy nawet odwoływanie się do opinji „demokratycznej" świata tak wybitnych działaczy i zapewne masonów, jak jeden z twórców jedności jugosłowiańskiej p. Svetozar Pribiczewicz[1]), który musiał opuścić kraj ojczysty i przebywać na dobrowolnem wygnaniu we Francji.

Żyjemy w okresie wielkich przeobrażeń. Może je zrozumieć tylko ten, kto zerwie z szablonami umysłowemi, kto nie będzie poprzestawał na obserwowaniu powierzchni zjawisk, kto sięgnie głębiej i będzie się starał zapoznać z ich treścią istotną.

Dla zrozumienia i oceny prądów społecznych i politycznych nie wystarczy patrzeć na stosowane przez nich metody, lecz trzeba się zapoznać z ich zasadniczemi programami. Trzeba to czynić zwłaszcza wówczas, gdy się ma do czynienia z taką organizacją, jak wolnomularstwo, które posiada metody działania wypróbowane i oparte na głębokiej znajomości życia psychicznego jednostek i społeczeństw.

STANISŁAW KOZICKI

---

[1]) Ciekawym przyczynkiem, ułatwiającym zrozumienie interesującego nas zagadnienia jest książka Pribiczewicza *„La Dictature de roi Alexandre. Contribution a l'étude de la Démocratie"*. Paris. 1923.

A WIĘC BARUCH...

STANY ZJEDNOCZONE są opanowane przez żydów. W bankowości wystarczy wskazać na nazwiska Schiffa, Kahna, Loeba, Warburga, braci Lazare, twórców potężnego banku międzynarodowego (Paryż, Londyn, San Francisko), Seligmana, Davidsona, ajenta Rotszyldów, i legjon innych. Guggenheimowie mają monopol metalowy. Do nich należą kopalnie miedzi, cyny, złota i wszelakich metali nietylko w Stanach Zjednoczonych, ale i poza ich granicami, np. w Boliwji, Rosenfeld jest właścicielem kopalni węgla. Litanję tę można ciągnąć dalej.

Ale w rękach żydowskich znajduje się nietylko trust kruszczów (Smelter's Trust), posiadają oni jeszcze potężne wpływy w Tobacco Trust, gdzie są zaangażowani przeszło na pół miljarda dolarów, w Asphalt Trust, w Telegraph Trust, utrwalili swe wpływy w kolejnictwie przez Harrimana, który jest opanowany przez bank Kuhn, Loeb and Co. Kalifornia opanowana jest przez żydów w zupełności. Nietylko pod względem gospoderczym, ale co charakterystyczne opanowali i administrację. Wielkie amerykańskie domy handlowe — żydowskie. Przemysł kinematograficzny w rękach żydów, wszelkie miejsca rozrywek, jak oto opery, teatry i kinematografy w 90% także w ich posiadaniu. Nowojorski trust domów publicznych należy do miljonera żydowskiego Goldberga. W prasie dominują żydzi.

Uniwersytety przepełnione żydami, którzy potem tworzą inteligencję kraju, wypierając inne narodowości, względnie konkurując z rdzennymi Amerykanami. Medycyna, laboratorja, inżynierja, adwokatura, sądownictwo opanowane przez żydów, nie mówiąc o giełdzie, handlu i przemyśle.

Na czele najpotężniejszej organizacji robotniczej (American Federation of Labour) stoi żyd

Samuel Gompers, który rabinowi Stephenowi Wise powierzył kierownictwo Zjednoczenia związków robotników przemysłu stalowego, inny znów żyd Sidney Hillman jest przywódcą robotników przemysłu włóknistego, który zresztą, jak i przemysł odzieżowy całkowicie opanowany przez żydów.

Na politykę Stanów Zjednoczonych żydzi wywierają wpływ bardzo silny. Otoczenie prez. Wilsona było całkowicie żydowskie. Jego sekretarzem prywatnym był żyd Tumulstey, agentami prasowymi adwokat żydowski Lustgarten i dziennikarz Dawid Lawrence; najbliższe otoczenie Wilsona stanowjli bankierzy Elkan, Morgenthau, Kahn, Kuhn, Loeb, Schiff oraz rabin Wise, członek kahału nowojorskiego; pułkownik House, bankier jest z żydów i skoligacony z żydami. Przyjacielem i doradcą Wilsona był przywódca sjonistów w Ameryce — sędzia Brandeis. Drugim, a może jedynym doradcą B. Baruch, żyd, o bardzo ciekawych kolejach żywota, przed laty trzydziestu jeszcze kantorowicz.

Bernard Baruch był dotychczas mało znany, wyrósł w cieniu potęgi Guggenheimów, jak fijołek. Baruch, przewodniczący *War Trade Board*, w okresie prezydentury Wilsona posiadał władzę nieograniczoną. Był on w gruncie rzeczy dyktatorem. Prezydent Wilson to tylko parawan. Rządziło jego otoczenie żydowskie z Baruchem na czele. Uprawnienia Barucha były wprost nieprawdopodobnie wielkie.

W swoich rękach scentralizował nietylko władzę dyktatorską nad gospodarką Ameryki, ale kontrolę nad całokształtem życia gospodarczego, społecznego i politycznego Stanów. Przez to miał wgląd w żywotne sprawy koalicji, bo on decydował ostatecznie o dostawie materjałów przemysłu wojennego dla koaljantów. Doradcą prez. Wilsona na konferencji pokojowej był Baruch, a skoro wykonywał on podczas wojny władzę dyktatorską w Stanach, więc spodziewać się można, że na konferencji pokojowej Wilson był także parawanem, a istotnym reżyserem — Baruch, za którego plecami stoją Guggenheimowie, właściciele trustu kruszców.

Rooseveltowie pochodzą z żydów holenderskich, którzy wyemigrowali do Ameryki.

Gdy prezydent Roosevelt przystępował do objęcia urzędu depesze nieostrożnie doniosły, że znów p. Baruch wypłynął na widownię. Wzmiankowano o nim, jako o doradcy finansowym nowego prezydenta — Roosevelta. Zaznaczano, że Baruch ma już plany uzdrowienia świata i wybawienia go z kryzysu. A najważniejsze, że kamieniem węgielnym tego planu miało być wywrócenie traktatu wersalskiego.

Po tych nieostrożnych wiadomościach na początku, o Baruchu ucichło na czas dłuższy. To metoda Barucha. Największe machinacje przeprowadzał z ukrycia, nie wysuwał się wtedy na front.

Prezydent Roosevelt powołał do życia nowy tajemniczy „trust mózgów", na którego czele stanął Moley, ostatnio profesor kryminologji w jednym z kolegjów żeńskich, a przedtem podobno nauczyciel szkoły ludowej. Ów słynny dziwotwór czyli *Brain*'s *Trust*, którego kierownictwo powierzono prof. Moleyowi, powołany był do rozstrzygania najpoważniejszych zagadnień ekonomicznych i społecznych. Moley, jako delegat osobisty prez. Roosevelta, a zarazem podsekretarz stanu sprew zagranicznych, był obecny na konferencji londyńskiej. Sam nic nie miał do powiedzenia. Otrzymywał instrukcje z Ameryki, albo po nie wyjeżdżał do Ameryki.

Prezydent zaaranżował nieprawdopodobny w dziejach eksperyment finansowo-walutowy, przyczem rozpętała się jednocześnie olbrzymia spekulacja giełdowa, uprawiana głównie w trzech ogniskach: New Jork, Londyn, Paryż.

(Uwaga: międzynarodowy bank żydowski braci Lazare ma swe siedziby w Paryżu, Londynie i w Ameryce).

Wallstreet w New Jorku, ta kwatera sztabu generalnego żydów, wyzyskuje spadek dolara jako wielką grę do robienia interesów, przedewszystkiem na zwyżce papierów akcyjnych. Inna rzecz, że wielki kapitał (finansjera i przemysł) zarobi sumy na obniżeniu wartości dolara, bo długi w stosunku do państwa spłaci w zdeprecjonowanej walucie.

Ale prezydent Roosevelt i kryminolog Moley, to parawany. Istotnym reżyserem całej tej akcji amerykańskiej jest inny członek trustu mózgów, mianowicie Bernard Baruch, wielki finansista żydowski, człowiek Guggenheimów, posiadaczy trustu kruszców, a zarazem o nieograniczonej władzy dyktator w okresie prezydentury Wilsona, będącego marjonetką w rękach żydów.

Bernard Baruch jest nieoficjalnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Tak go już tytułują w Ameryce. Niezmiernie ciekawą i charakterystyczną wiadomość o tem znajdujemy w tygodniku żydowskim „Opinja" (nr. 24, z dnia 16 lipca r. b.), który pisze: „M. Baruch, bankier żydowski, najbliższy współpracownik i doradca Roosevelta uchodzi powszechnie za czynnik decydujący w obecnym rządzie amerykańskim. W nowojorskim „World - Telegrame" ukazał się artykuł wstępny, poświęcony Baruchowi pod wiele mówiącym tytułem: „Prezydent Baruch", zaś do ministerjum spraw zagranicznych w Waszyngtonie wpłynęło pismo od pewnego obywatela z Tools (Oclohama) zaadresowane do „nieoficjalnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Bernarda Barucha".

Będąc mało znanym, a w gruncie rzeczy jedynym, mającym istotną władzę w Stanach Zjednoczonych dyktatorem podczas wojny, Baruch zużytkował swe wpływy, między innemi, dla kombinacji spekulacyjno-finansowych w wielkim stylu. Na tych jego spekulacjach, opartych na różnicy cen, a możliwych do przeprowadzenia jedynie dzięki temu, że opanowany przez żydów Wilson w ręce Barucha złożył władzę dyktatorską, otóż na tych jego spekulacjach miljony zarabiali różni giełdziarze, a przedewszystkiem amerykańscy królowie metalowi — Guggenheimowie, właściciele trustu kruszców.

Obecna gra z dolarem prez. Roosevelta jest rzecz oczywista wyreżyserowana i kierowana przez Barucha, który prowadzi atak na traktat wersalski. Prócz wielkich zysków, jakie zgarną przy sposobności bankierzy i giełdziarze, Baruch ma jeszcze jeden cel, mianowicie wprowadzić dezorganizację do życia finansowo - gospodarczego Europy.

Franklin Roosevelt, obecny prezydent Stanów Zjednoczonych, pochodzi z wyższych sfer towarzyskich New Jorku, miasta bankierów, miasta, gdzie na Wallstreet znajduje się główny sztab ży-

dostwa. Przytem Roosevelt z zawodu adwokat, związany jest tysiącem niewidocznych, tajnych, ale za to niezwykle mocnych nici ze światem bankierów i giełdziarzy.

Roosevelt pozostał wierny tradycji wilsonowskiej.

Za jego plecami wyrasta coraz potężniejsza figura żyda Barucha naczelnego dyrygenta wypadków, które obecnie obserwujemy.

Trzeba mieć tylko oczy otwarte na to, co się dzieje.

Wł. M.

ERGO DECIPIATUR...

MUNDUS VULT DECIPI, ERGO DECIPIATUR — takie motto można umieścić pod nagłówkiem światowej polityki żydowskiej. Jak skarbiec królewski blaskiem najdroższych kamieni, tak skrzynia dziejów żydowskich lśni nieprzebraną ilością wspaniałych okazów oszustwa, cudownie pracą zbiorową w ciągu tysiącoleci oszlifowanych. Możnaby dla każdej epoki zosobna ułożyć duży spis mniejszych i większych arcydzieł tego szlifierstwa dziedzicznego. Lecz, niewątpliwie, czasy ostatnie dostarczą najbogatszych do swojego spisu materjałów. Obecnie już nietylko warstwy kierownicze, ale cały naród żydowski bierze świadomy udział w tem niezwykłem, a wiele sprytu wymagającem, zajęciu. O jego powszechności w tłumach żydowskich najlepsze daje świadectwo prasa, najściślej z szerokiemi warstwami żydowstwa związana.

Udowodnię zaraz na paru typowych przykładach, że oszustwa, stale przez prasę żydowską szerzone, nie mają na celu wprowadzania w błąd jej czytelników żydowskich. Prasa ta nawet się nie obawia, żeby przypadkiem ten czy ów jej czytelnik (żydowski, naturalnie) fałszom jej uwierzył. Redakcje i szeroki ogół czytelniczy tak doskonale pod tym względem są zgrane ze sobą, że stanowią rodzaj zorganizowanej szajki, której redakcje pism dają wskazówki, jak w danej sprawie na leży wobec świata nie-żydowskiego argumentować, ogół zaś czytelników żydowskich stanowi posłuszny zespół uczniów, którzy wskazówki otrzymane wokół siebie w świat gojowski puszczają. Ogół ten, oczywiście, zgóry wie, jakich metod zasadniczych przy tem trzymać się należy — wiedza, którą, zresztą, każdy żydek już z chederu wynosi.

Każdą prawdę, każdą ideję, która dla każdego wogóle narodu jest dobroczynna, żydzi poddają u siebie niezwykłym a wymyślnym torturom rytualnym. Poznajmy je obrazowo. Jeśli to jest, naprzykład, nacjonalizm, to naprzód wypruwają z tej idei wszystkie jej cechy wartościowe, chowają je i ukrywają przed światem starannie, zachowując je na wyłączny użytek narodu żydowskiego. Następnie zaś pozbawiony w ten sposób treści, żałosny zewłok słowny, czyli samo słowo „nacjonalizm“ z gestami wielkiego obrzydzenia rzucają przed oczami świata na ziemię, kopią je, depcą, poniewierają i oczerniają, jako, niby, najgorszy z najgorszych grzechów każdego narodu. Po pewnym czasie tak poglądowej propagandy słowo „nacjonalizm“ budzi w tłumach oszukanych uczucia odrazy i zgrozy. Przy sposobności uczucia te samorzutnie przenoszą się na wszelką treść, jaką kto słowu spotwarzonemu podsunie.

Żydzi jednak wiedzą, że człowiek nie może żyć samą negacją. Każdej idei zniesławionej, każdemu słowu oczernionemu trzeba koniecznie przeciwstawić coś pozytywnego, ideję błogosławioną, słowo świetlane. Dla nacjonalizmu przeciwstawność stanowi internacjonalizm, nad nim przeto odbywa się pozytywna część rytuału — wielki taniec weselny i majufes pochwalny. Słowami, intonacją i gestami żydzi scenizują tłumom oszukiwanym wszechzbawienność internacjonalizmu, oraz wmawiają, że właśnie oni — żydzi są odwiecznymi z głębi duszy żarliwymi wyznawcami internacjonalizmu. Po pewnym czasie tak poglądowej propagandy słowo samo i to, co kto pod nie podsunie, chodzi wśród tłumów oszukiwanych w aureoli nietykalności.

Takie oto czterokrotne „opracowanie“ każdej idei i jej przeciwstawności — inne na użytek żydowstwa a inne dla świata — poprzedza raz na zawsze każdą dziedzinę spraw, o których czytelników swoich powiadamia prasa żydowska. Tym sposobem każda nazwa idei ma w tej prasie znaczenie podwójne, z czem każdy czytelnik żydowski nawet bez mrugnięcia ze strony redakcji doskonale sobie radzi. Więc, naprzykład, w „Ich“ „Naszym Przeglądzie“ warszawskim na jednej stronicy artykuł, z powodu hitleryzmu napisany, uznaje każdy nacjonalizm za ohydę i obłęd, a na stronicy odwrotnej artykuł o syjonizmie chwali się nacjolizmem, jako fundamentem dla odrodzenia narodu żydowskiego nieodzownym. I tam i tu z całą swobodą używa się tego samego słowa „nacjonalizm“, a redakcji nie powstaje myśl w głowie, żeby choć mrugnąć porozumiewawczo do swoich czytelników. Samo zestawienie tych dwóch prac jest dostatecznem mrugnięciem. Ale i bez zestawienia wszyscy oni natychmiast w każdym wypadku odpowiedni sens tego słowa znajdują.

Weźmy inny przykład. Wiadomo, że od czasu zwycięstwa faszyzmu w całej bez wyjątku światowej prasie żydowskiej słowo „faszyzm“ weszło w użycie, jako ostatnie z ostatnich wyzwisko. W broszurach, mowach, odezwach żydowskich słowo „faszyzm“ brzmi tak sycząco — zjadliwie, jak plujący syk kota na płocie, kiedy go psy napadają. Biedny uczciwy socjalista polski zniósłby raczej kłamliwą o sobie opinję, że jest złodziejem, niżby miał być o taką hańbę, jak faszyzm, posądzony. Ale zajrzyjmy do Ich „Naszego Przeglądu“. Tu znowu na jednej stronicy „faszyzm“ jako syk potępienia, gdy chodzi o jakikolwiek naród aryjski, a na drugiej artykuł o Palestynie silnie zaznacza, że tameczne społeczeństwo żydowskie tylko na zasadach faszyzmu organizować się powinno i że w Palestynie żydowskiej niema miejsca na walkę klas i tej podobne marksizmy. I tam i tu — ani mrugnął, ani się zająknął...

Takiej samej operacji uprzedniej i analogicznym zastosowaniom ulega w literaturze i prasie żydowskiej każda z idej, obieg mających. Imperjalizm, pacyfizm, demokracja, patrjotyzm, rasizm, liberalizm, materjalizm, wszelkie nazwane i nienazwane postawy wobec zagadnień ogólnych — wszystko ma tam ocenę poczwórną: prawdziwą i pozorną w stosunku do żydów, oraz pozorną i prawdziwą w stosunku do gojów. W każdej

sprawie czytelnicy żydowscy mają w swojej prasie poczwórną szkołę argumentacji — dwie ezoteryczne i dwie egzoteryczne. Przyczem w argumentacji także obowiązuje pewna stała metoda, polegająca na unikaniu rozumowań, a graniu na efektach, zawołaniach, hasłach, uczuciach i całem mnóstwie sofizmatów, oraz sztuczek logicznych, obliczonych na tłumy, do oszukania przeznaczone. Wychowani na magji talmudycznej od ezechjelowych czasów Goga z Magoga żydzi urodzonymi są demagogami.

Gdy do historji żydów, poznawanej teraz coraz dokładniej, dołączymy obraz ich zachowania się względem świata ludzkiego w teraźniejszości, t. j. w ostatniem mniej więcej półwieczu, całą ich literaturę i prasę współczesną, wszystkie ich tak natarczywe i złośliwe wtrącania się do życia obcych sobie społeczeństw, państw, narodów i kultur naszej cywilizacji, przed oczami naszemi rozwinie się wyjątkowe, zaprawdę, w dziejach widowisko: poprzez wieki i wieki cały naród od egzylarchy do chałaciarza, od starca do dziecka w jedno dzieło zaprzęgnięty i świadomie a pilnie jedną robotą zaprzątnięty; trudem fałszowania i oszukiwania świata dokoła — co pokolenie, co roku, co dnia, co godzina, w każdem pojęciu, w każdem przedsięwzięciu, w każdem stąpnięciu! Nie wiem, nikt nie wie, jak oni sobie nawzajem w oczy zaglądają i patrzą, co mówią wzajem do siebie, czy śmieją się i co tam w ich mózgach za plecami ich śmiechu odbywa się — nie wiem, ale to wiem z pewnością że szybko zbliża się chwila, kiedy świat powie sobie, że ma już dosyć tego widowiska.

Naród, do ostatniej kropli krwi oszustwem i cynizmem przeżarty, szerzy dokoła zgniliznę moralną, i nie może być nadal w łonie społeczeństw ludzkich cierpiany. Kto bez uprzedzeń poznaje historję żydów, oraz ich hałaśliwą współczesność, tego na każdym kroku zatrzymuje pytanie: z kim tu właściwie ma do czynienia, kto to jest ów poznawany, megalomanją tknięty organizm zbiorowy — naród to, czy występna organizacja międzynarodowa? Odpowiedź na to pytanie rośnie dziś, jak groźna dla żydów lawina. Wiadomo, jaki jest nieunikniony koniec każdego oszusta. Już teraz — z powodu wojny niemiecko-żydowskiej coraz widoczniej świat od żydów się odwraca. Wszystkie wysiłki żydowskie w celu moralnej i gospodarczej izolacji Niemiec dają godne politowania wyniki. Z każdym niemal dniem wyraźniejszy odbywa się w świecie ruch przeciwny: izolacji żydowstwa. Odbiło się to już na prasie żydowskiej; raz w raz pojawiają się w niej histerycznym, płaczliwym tonem pisane rozprawy i wołania: „Dlaczego Anglja nas opuściła?“, „Dlaczego Sowiety nas w obronę nie biorą?“, „Dlaczego Francja poza grzecznym gestem nic dla nas nie robi?“, „Dlaczego świat dla żydów jest tak kamiennie obojętny?“.

Dałoby się na tych lamentach niejedną na żydów krwawą osnuć drwinę, ale nie czas już w tej sprawie na drwiny. Idzie Nemezis tej, tak wzgardzonej i poniewieranej przez żydów, cywilizacji. Obudził się już w sercu swojem, w Romie, świat romański. Budzi się za nim ciężki świat germański. Gdy przyjdzie kolej na światy pobliskie — słowiański i anglo-saski i dalszy — muzułmański, pożar straszliwej prawdy otoczy symboliczną żmiję żydowską. Zginie wtedy dla niej nawet ta, niby umiłowana, a również przez żydów oszukiwana Palestyna.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

POLSKOŚĆ POWIATU BRASŁAWSKIEGO

ZAGADNIENIE „polskości“ decydowało o zwycięskim pochodzie naszej kolonizacji na wschód, a dziś i jutro decydować będzie o racji naszego stanu posiadania i o dalszych wpływach na wschodzie od naszego rdzenia etnograficznego.

Zgóry należy zastrzec się przed statystycznem traktowaniem tego zagadnienia, przed ilościowemi obliczeniami pierwiastka lechickiego na krańcach Państwa. Trzeba szukać innego kryterjum, któreby uzasadniało nasze prawa do omawianych obszarów pomimo i wbrew faktowi, że nigdzie tu nie docią gamy do 50% ogółu.

Obszary naddźwińskie zostały wcielone do Polski przez unje Jagiellońskie. Gdy o ziemie te wynika nieskończone pasmo wojen moskiewskich, — prawie niezmiennie rozpoczynały się one na północnym wschodzie, w dorzeczach górnej Dźwiny i Dniepru i stamtąd szybko szerzyły się z biegiem Dźwiny, ogarniając północną Wileńszczyznę.

Nie miejsce tu dla notowania etapów rozwoju tej kilkuwiekowej zawieruchy, ani też pojedyńczych przykładów bohaterstwa — damy tu tylko parę przykładów wystąpień gromadnych.

W r. 1654 wojska cara Aleksego zdobyły miasto i forteczkę Dzisnę. Okupacja trwała lat 7, aż w r. 1661 szlachta i prawosławne mieszczaństwo dziśnieńskie nagłym napadem wycięły moskiewską załogę, opanowały fortecę, poddając ją Janowi Kazimierzowi. Wdzięczny tedy król za życzliwość i odwagę panów szlachty i mieszczan, nagradzając cnotę, odwagę i fidelitatem, wdzięcznym affektem fortecę od nich przyjąwszy, a mając na widoku ich zubożenie, — od podatków Rzpltej na lat 4 ich uwalnia.

Czasy Sejmu Wielkiego, czynią generalny rachunek sumienia i spowiedź z grzechów poprzednich stuleci. Instrukcja dla posłów brasławskich na Sejm czteroletni z dnia 18 sierpnia 1788 roku głosi:

„W wieku tym, którym żyjemy, najwięcej duch męstwa panuje, ten że okazany być nie może bez wojska, w proporcji siły każdego kraju. Nie ociągajmy się więc z aukcją wojska, bo i świeże nas uczy doświadczenie, że jest nieodbicie potrzebne. Jasna zatem wypada konsekwencja podatku, każdy obywatel dobrze myślący zaprzeczyć owego nie może. Ma Rzplita w mocy swej niezliczone sposoby pomnożenia skarbu. Same Starostwa jej niech się zwrócą całkowitością intraty, niech dopomagają potrzebom Ojczyzny... Potrzeba ze wszystkich źródeł powiększać a nie uszczerbiać Rzpltej dochody, bo w niedostatku onej każdy prędzej z siebie czynić ofiarę jak nagród wymagać powinien. Dobra pojezuickie wiele przyczynią intraty, skoro je Rplta do swego zabierze rozporządzenia, a mało stracą, którzy, przez miłość Ojczyzny raczą oddać, co darmo w nieszczęśliwym dla Ojczyzny czasie wzięli. Też i duchowieństwo z pobudek dobra publicznego może bez ukrzywdzenia swego połowę albo i 3 części intrat Rpltej ofiarować, gdyż nie jest narażone na takie expensa, jakim stan świecki przez pełnienie usług obywatelskich i przez rozmnażanie familji, ulec koniecznie winien. Wszelako, gdy te w górze podane sposoby będą niewystarczające oko-

licznościom, natenczas do roztropności Ichmości Panów Posłów odwołujemy się, ażeby nie wyłączali od podatków dobra ziemskie, krwią naszych przodków nabyte, skoro tej ofiary nieodbytą przewidzą potrzebę".

Jest to cały program rewolucyjny, który żąda dla Państwa zwrotu bez odszkodowania wszystkich królewszczyzn, dóbr pojezuickich, który redukuje do 1/2 i 3/4 dochody z dóbr duchownych i wreszcie daje swym posłom wolną rękę w opodatkowaniu dóbr ziemskich. Na tak szeroką reformę skarbową nie odważył się Sejm Czteroletni.

A czyż wprost nie rozrzewniające jest inne świadectwo z tegoż okresu? Dziś w gminie leonpolskiej, w lesie, nad samą Dźwiną i tuż nad bolszewicką granicą stoi potężna, mocno podniszczona stara kolumna. Historję jej dnia 22 sierpnia 1791 r. opisał Jan Nikodem Łopaciński, dziedzic Leonpola:

„Umyśliłem upamiętnić tu na rubieży Rpltej w obliczu groźnego wroga naszego — wielkie dzieło Konstytucji 3 maja. W tym celu kazałem wymurować słup wysoki podług mego obrysu na odkrytem miejscu prawie nad samą Dźwiną, aby był zdaleka widoczny nieszczęśliwym braciom naszym za kordonem i nadzieją serca ich krzepił. W dniu 18-ym *praesentis* odbyliśmy poświęcenie tej pamiątki i t. d.".

Ta uroczystość hołdownicza ideom 3 Maja odbywała się na krańcach Rzpltej wtedy, gdy nie zdążyły jeszcze przebrzmieć jej echa w Warszawie.

Posłem od powiatu brasławskiego na Sejm Wielki był Tomasz Wawrzecki, ostatni naczelnik siły zbrojnej Rzpltej po upadku Kościuszki. Zaś w r. 1794 nastąpił ostatni akt dramatu, gromadnie wystąpił i powiat brasławki na wezwanie podkomorzego Mirskiego, Emisarjusza Rządu Powstańczego. Wydany przez niego uniwersał kończy się w te słowa: „Bierzmy się wszyscy za ręce, stańmy oporem, brońmy ojczystej ziemi naszej, wolności i życia".

Tych kilka świadectw archiwalnych daje mocną podstawę do twierdzenia, że polskość naddźwińska nie wynarodowiła się ani spaczyła wobec litewsko-białoruskiej ludności i przechowała w czystości swe oblicze narodowe.

Za czasów powstania kościuszkowskiego szereg raportów rosyjskich donosi, że „wszystkie umysły przygotowane są do powstania, które lada dzień wybuchnie i alarmują o posiłki, a generał-major German wręcz oświadcza Repninowi: „Ten nowonabyty kraj gotów jest do powstania... w różnych miejscach znalazłem przygotowane strzelby u samych włościan... Tutaj uzbroili się wszyscy mieszkańcy".

Jeszcze bardziej dosadną charakterystykę szerokiego ogółu brasławsko-dziśnieńskiego daje słynny Murawjew w r. 1831, który tu właśnie rozpoczął swą wspaniałą karjerę, ukoronowaną stłumieniem powstania na Litwie w r. 1863, koroną hrabiowską i tytułem „Wieszatiela". Po stłumieniu powstania w dziśnieńszczyźnie składa on 24 maja niezmiernie ciekawy raport, który kończy takiem charakterystycznem oświadczeniem:

„Ponieważ prawie wszyscy obywatele i l u d n o ś ć tego powiatu złamali swą przysięgę, to i należałoby ich do niej ponownie pociągnąć; lecz, mając na względzie, że n a r ó d ten w przeważającej większości jest zdolny do krzywoprzysięstwa, że nie jest w stanie odczuć całego majestatu przysięgi i wierzyćby jej nie można — uważam za zbyteczne do tej przysięgi doprowadzać".

Musimy być wdzięczni Wieszatielowi za tak marne określenie wartości naszych uczuć wiernopoddańczych.

Powszechnie znana jest dodatnia rola kleru katolickiego w krzewieniu i wzmacnianiu „polskości" przez wiarę i język. Też i nad Dźwiną liczne zakony pijarów, karmelitów i franciszkanów złożyły hojne ofiary w r. 1831. Niewątpliwie też najwyższej doniosłości była rola tego kleru, gdy w kilka lat później rząd rosyjski podjął się akcji niszczenia Unji. Heroiczny, ciągnący się przez szereg lat opór mas włościańskich na omawianym terenie został jednak złamany przez akcję Siemaszki i trzeba przyznać, że to zwycięstwo moskiewskie było dla polskości w swych skutkach najtragiczniejsze, rozerwało bowiem łączność mas z Zachodem przez wiarę i język i dało szeroki dostęp bizantyzmowi. A jednak przez cały wiek XIX-ty widmo polskości było zmorą, trapiącą nieustannie rusyfikatorów tak świeckiego jak i duchownego autoramenu. Pomimo że Murawjew jednem pociągnięciem pióra zniszczył resztki polskiego szkolnictwa, pokrył cały kraj siecią rosyjskich szkół i pomimo że ta akcja kontynuowaną była przez parę dziesięcioleci, pewien autor rosyjski w r. 1889 drukuje w czasopiśmie rosyjskiego Ministerjum oświaty taką tabelę: dla czterech gmin brasławskiego powiatu procent umiejących czytać w języku rosyjskim 14%, — procent umiejących czytać w języku polskim 86! Wspaniały jest ten stosunek, odsłania bowiem kierunek, w którym szedł wśród ludności litewsko-białoruskiej pęd do oświaty, przytem pęd nienaturalny, bo z jednej strony w kierunku oświaty rosyjskiej w przeciągu dziesięcioleci ze wszech sił podsycany i popierany przez czynniki decydujące, a z drugiej strony w kierunku oświaty polskiej przez te same czynniki nie mniej gwałtownie zwalczany i hamowany.

Wiek XX-ty również nie przyniósł Stołypinom i Pobiedonoscowym żadnej pociechy: W r. 1908 polakożercze wileńskie prawosławne Bractwo św. Ducha, zamieszcza w swym organie takie korespondencje:

„Szkółka leonpolska otwarcie polonizuje... ściągnęła prawosławnych Białorusinów i uczy ich po polsku... pan Łopaciński organizował przedstawienie w języku polskim... dzieci ze szkółki grały po polsku... śpiewały hymn polski z prośbą do Boga o swobodę dla ciemiężonej przez Rosję Polski... i protokuły nie pomagają... Polacy już porzucili myśli o buncie, ale gorzej, bo starają się skaptować chłopa, pomóc mu ekonomicznie, wyzwolić od żydowskiego wyzysku. Energicznie wprowadzają oni pożyteczną wiedzę z rolnictwa i spółdzielczości... W taki sposób „pany palaki" dążą do pokojowego podboju Białorusi. J u ż t u w i ę k s z y % u m i e p o p o l s k u n i ż p o r o s y j s k u".

Niedawno, bo przed miesiącem zaledwie rozesłałem do setki zgórą szkół powiatu dziśnieńskiego ankietę, w której znalazło się i takie pytanie: „Czy wśród miejscowej p r a w o s ł a w n e j ludności przechowały się wspomnienia ze zniesienia unji w r. 1839. Otrzymałem kupę odpowiedzi, z których podam parę:

Szkoła w Waśkowiczach: po ukazie tolerancyjnym 1905 roku wielu prawosławnych nawróciło się na katolicyzm.

Szkoła w Jankach: wielu starszych prawosławnych jeszcze dziś modli się po polsku.

Szkoła w Żerstwiance: prawosławna ludność gremjalnie obchodzi święto M. B. Różańcowej.

Szkoła w Zabłociu: prowosławni w wypadku śmierci członka rodziny zapraszają katolików dla odprawowania w tajemnicy od popa modłów i śpiewów według obrządku katolickiego.

Szkoła w Horawcach: starzy prawosławni mówią pacierze po polsku i witają się przez: „N i e c h b ę d z i e p o c h w a l o n y J e z u s C h r y s t u s".

Jakże jest to wymowne po 92 latach przejścia na prawosławie i wszechwładnego panowania czynowników rosyjskich i szkół cerkiewno-parafjalnych.

Nadszedł rok 1863: Napełnił on dusze rosyjskie przerażeniem. Nareszcie zrozumiano, że to nie są żarty, że ten skuty naród wbrew logice cyfr i poczuciu rzeczywistości porywa się z motyką na słońce do dalszej walki i wstrząsa podstawami największej potęgi świata, że półśrodki nie pomogą, że żadne ulgi i zmiany kursu narodu nie przejednają. Liczne memorjały dygnitarzy rosyjskich podnoszą, że są na Litwie pewne rodziny i warstwy, których gremjalny udział w powstaniach jest uświęcony przez tradycję, że każde nowe powstanie polskie jest zbudowane i ugruntowane na dorobku ubiegłego powstania, że, jak powiada generał-gubernator wileński von Kaufman:

„Siła atrakcyjna żywiołu polskiego polegała na środkach materjalnych i ściśle zamkniętej odrębności korporacyjnej, która broniła wejścia do swego łona każdej obcej narodowości, zwłaszcza rosyjskiej, a jeśli i przyjmowała, to ten obcy element przesiąkał szybko duchem polskim i ginął bez śladu już w najbliższem pokoleniu".

Tę cechę niezwykłej żywotności narodowej wielokrotnie stwierdzają przenikliwsi rosyjscy obserwatorzy.

Z zaciekłą energją rzucił się rząd rosyjski do ostatecznej rozgrywki, której celem miało być jeszcze według słów Puszkina zlanie się słowiańskich strumieni z rosyjskiem morzem. Imał się rząd rosyjski wszelkich środków: stworzył ustawy wyjątkowe dla polskiej własności ziemskiej, gęsto obsadził Litwę cerkwiami i szkołami, siał nienawiść między wsią a dworem, na osierociałych polskich gruntach osadzał na gwałt staroobrzędowców, łotyszów, żydów, ściągał kupców moskiewskich, chwycił się nawet projektu oddawania byłych starostw w bezkontrolną dzierżawę generałom emerytom w tej niepłonnej nadziei, że ci rosyjscy generałowie — najczęściej o niemieckich nazwiskach — zespoją się ze szlachtą tutejszą, a przez związki małżeńskie swych latorośli wzmocnią tu element rosyjski. Nie doceniały rządy Mikołajów i Aleksandrów polskiej odporności, która potrafiła przeciwstawić się zakusom eksterminacyjnym na Śląsku, a cóż dopiero spróchniałym generałom!

Zaiste wspaniałe świadectwo prawdzie i definicję kwestji polskiej na Litwie dał słynny memorjał, złożony carowi Aleksandrowi II-mu przez t. zw. komisję czterech, złożoną z braci Milutinów i generał-gubernatorów Zielonego i Kaufmana.

„Ludność polska, procentowo nikła nadaje jednak krajowi charakter polski, jest siłą, paraliżującą wszelkie zamierzenia rusyfikacyjne rządu. Uśmierzenie każdego powstania wstrząsało na pewien czas podstawami bytu polskiego, lecz były to tylko czasowe bolączki, rany goiły się szybko, kramoła polska wychodziła z walki obronną ręką i polskość znowu święciła triumfy... dla dobra Rosji należy chwycić się wszystkich środków, chociażby i nieprawnych dla złamania nieubłaganego żywiołu polskiego".

Zamkniemy tę pogadankę wnioskiem ogólnym: Opatrzność hojnie wyposażyła naród polski: dała mu wyjątkową odporność narodową, zdolność do przenikania nazewnątrz, do pokojowego oddziaływania na obce elementy etnograficzne.

Z łatwością przeto ongiś kolonizowano i wciągano w orbitę wpływów kultury zachodniej prawie bezpańskie obszary ukrainne; dzięki tej odporności utrzymywała się tu polskość poprzez wiekowy okres polityki eksterminacyjnej carów.

I dziś znowu stoi otworem wielkie zadanie — zadanie rozwoju i utrwalenia naszej narodowej przyszłości.

Czasy się zmieniły, warunki stały się trudniejsze, walka konkurencyjna bezwzględniejsza.

W tych nowych warunkach albo będziemy musieli ustąpić z pola walki i przyznać z upokorzeniem, że polskość się tu przeżyła, albo też rozgrzać i wydobyć z siebie te utajone siły, które przez wieki otaczały imię Polski urokiem i powagą i nadal będziemy pełnić z powodzeniem zadania zgodnie z dziejowem przeznaczeniem naszego Narodu.

Br. D.

FRANCISZEK MAURIAC

AKADEMJA Francuska powołała obecnie do grona „nieśmiertelnych" powieściopisarza Franciszka Mauriac'a. Ma on za sobą tak niezwykły dorobek literacki, że wybór odbył się niemal jednogłośnie, bez konkurenta, chociaż ze względu na wiek swój (mniej niż pięćdziesiąt lat) mógłby, zgodnie z tradycją tej instytucji, długo jeszcze czekać na ten zaszczyt.

Wprawdzie od kilku lat zasiada pod „Kopułą" Akademji inny powieściopisarz — „mniej niż pięćdziesiąt lat" — Piotr Benoit, ale ten — to co innego! Wybór P. Benoit narzucało nadzwyczajne powodzenie jego utworów, osiągnięte w żywem tempie na obu półkulach. Powodzenie szło za nim szybko w miarę, jak autor przenosił się z miejsca na miejsce, poszukując wciąż pod rozmaitemi stopniami szerokości geograficznej ponętnych i efektownych tematów, dla zaspokojenia głodu przygód i egzotycznych widowisk, coraz liczniejszej rzeszy swoich czytelników. Benoit zresztą nie narażał czytelników zbytnio na głębsze wzruszenia, na rozterkę myśli i niepokój sumienia. Tak trudząc się, przyjemnie i pożytecznie, autor „Atlantydy", „*Fort de France*" i tuzina innych utworów doszedł prędko do mety; syt sławy i powodzenia, wciąż jedną i tą samą, wypróbowaną pirotechniką powieściopisarską olśniewa i zachwyca łaskawych na niego czytelników.

Inaczej rzeczy się miały z Mauriac'em. Nie wędrował po szerokim świecie w pogoni za wdzięcznym tematem, nie urządzał fajerwerków i niespodzianek na intencję odświętnej publiczności; przebywał wciąż w swoich stronach rodzinnych, w swoim „*pays*" — w okolicach Bordeaux — wśród wydm i lasów nadmorskich, wśród winnic sławnych na cały świat; tkwił głęboko w środowisku prowincjonalnem, typowem dla społeczeństwa własnego, i tam z ludzi swojej rasy i kultury tradycyjnej, z ludzi żyjących w powszedniości bytu prowincjonalnego—wydobywał mnóstwo tak bogatej treści duchowej, tak natężonem życiem uczuć i namiętności ich obdarzał, że to wszystko nabierało powszechniejszego znaczenia, otwierało perspektywy na człowieka wiecznego, odsłaniało widoki jego duszy tajemne, a o jej niedolach i tragedjach zasadniczych mówiło z powagą i wzruszającą wymową.

Na młodego autora zwrócono uwagę oddawna (zachwycał się już nim taki znawca jak M. Barrès), krytyka odzywała się o każdym jego utworze

z szacunkiem, niekiedy nawet z podziwem, do rozgłosu jednak większego imię jego długo nie dochodziło i szerszy ogół czytelników nim się nie przejmował. Dopiero dziś, gdy po kilkunastoletniej rzetelnej twórczości, talent Mauriac'a w pełni się ujawnił, a na dziele jego odciśnięta została pieczęć oficjalnego uznania, mówi się już o nim, jako o „wielkim" powieściopisarzu, a niektóre powieści jego (jak np. „*Noeud de Vipères*". „Kłębowisko żmij") — zalicza się do „arcydzieł".

Może więc Mauriac stać się, przez pewien czas, nawet autorem modnym, co też będzie miało tę dobrą stronę, że szersze sfery czytelników zbliży do dzieł nieprzeciętnej wartości.

Nie mam zamiaru poddawać szczegółowemu rozbiorowi tematów, rozwijanych przez autora w szeregu utworów, w których nieraz powtarzają się te same zagadnienia życiowe, zarówno jak opowiadać dziejów osób powieściowych, często także duchem sobie pokrewnych, nie chciałbym bowiem pozbawiać czytelnika przyjemności bezpośredniego ich poznawania [1]).

Chodzi mi natomiast przedewszystkiem o ogólny charakter twórczości Mauriac'a, a także o to, z jakich pobudek oraz źródeł duchowych ona wypływa.

Poznanie kilku, pierwszych z brzegu, utworów autora „*Noeud de Vipères*" odrazu pozwala nam wyczuć, iż mamy tu do czynienia z wyjątkowej wytrawności moralistą, t. j. z jednostką, której najbardziej łudząca zewnętrzność działań i czynów ludzkich nie potrafi zasłonić ich istotnych sprężyn, która przytem ocenia je podług ich prawdziwej wartości, zdając sobie doskonale, niemłosiernie jasno, sprawę z tego, co jest w nich dobrem, a co złem, co jest światłem duszy ludzkiej, a co jej mrokiem.

Ta funkcja moralisty tak wybitnie zaznacza się w utworach Mauric'a, iż możnaby z rozsianych tam hojną ręką jego uwag i spostrzeżeń, dotyczących natury ludzkiej, ułożyć zbiór zdań i maksym tego rodzaju, jakich świetne przykłady znajdujemy u wielkich moralistów, jak np. Vauvenargues.

Przytaczam tu parę spostrzeżeń Mauriac'owskich, żeby dać miarę tego, jak głęboko sięgają one w życie nasze i jak nagle oświetlają ciemne jego zakątki.

„Jak tylko pozostajemy sami—powiada w powieści „*Le Dèsert de l'amour*" — jesteśmy szaleńcami. Tak, kontrola nas samych przez nas samych odbywa się tylko wskutek kontroli, którą inni nam narzucają".

Wbrew przyjętemu komunałowi, iż „nieobecni nie mają słuszności", Mauriac stwierdza, że jest wręcz przeciwnie: „Gdy się przyglądamy życiu naszemu, zdaje się, jakbyśmy zawsze byli oddzieleni od tych, których kochaliśmy najwięcej; wynika to stąd, iż wystarczało zawsze, by istota ukochana żyła obok nas, żeby stała się nam mniej drogą. To obecni nie mają słuszności". („*Génitrix*"). A oto jak przedstawia się mu fatalizm związków pomiędzy ludźmi: „Najczęściej ludzie nie wybierają siebie bardziej niż drzewa rosnące obok, których gałęzie splatają się z sobą samą siłą wzrostu" („*Noeud de Vipères*").

[1]) „Kłębowisko żmij" niedawno zostało u nas wydane w dobrym przekładzie p. I. E. Skiwskiego, — „Tajemnica Frontenac'ów" (ostatnia powieść M.) ukazała się świeżo w niezłym przekładzie jako „Rodzina Frontenac".

Piętnując marność naszych przeniewierstw, zapomnień i wykrętów wobec samych siebie, taką robi uwagę: „Jakże byliby kłopotliwi zmarli—gdyby powracali! Niekiedy wszakże powracają, zachowując o nas wyobrażenie, jakie pragnęlibyśmy gorąco zniszczyć, pełne wspomnień, o których usiłujemy zapomnieć. Każdego żyjącego wprawiają w kłopot ci topielcy, których fala wynosi na powierzchnię"...

Jak widzimy więc, opinja Mauriac'a o człowieku nie jest zbyt pochlebna; pozorami wartości jego on się nie daje uwodzić, te zaś, któremi zwykł jest przykrywać marniejsze strony swej natury duchowej, zdziera on zawsze z niego, uwydatniając przytem ich lichotę i znikomość.

Pomimo to nie należy M. do moralistów zupełnie rozczarowanych, co do istoty ludzkiej, do tych, którzy z surową ścisłością stwierdzają tylko te lub inne nędze jej bytu, przechodząc nad niemi do porządku dziennego, gdyż one ani ich ziębią, ani grzeją. Przeciwnie, wrażliwość jego na nie jest ogromna: im głębiej wzrok jego sięga w otchłań nędzy istnienia ludzkiego, tem żywiej się nią wzrusza i tem serdeczniej współczuje dotkniętym nią.

Tę siłę współczucia czerpie Mauriac z głęboko religijnego ducha swego, z wewnętrznego nakazu miłości chrześcijańskiej bliźniego, tem większej, im większa jest jego niedola i beznadziejniejszy los życia. Mauriac nie kryje się nawet z tem, że kocha więcej ludzi grzechu od ludzi cnoty. Powiadają o nim, że kiedyś, w jakiemś towarzystwie, ku zdumieniu wszystkich, miał oświadczyć: „*j'aime les crapules*", t. j. że kocha ludzi upadłych, nędzników. Jak wnosić można z jego utworów kocha ich i jako artysta, i jako wyznawca Chrystusa. Artysta lubuje się w ich temperamentach bujnych, tętniących życiem intensywnem, w ich duszach zawiłych, opętanych żądzami silnemi, poddanych fatalizmom ciała i ulegających pobudkom bezwiednym. Chrześcijanin — widzi w nich ofiary nieodgadnionych przeznaczeń, skazańców wyroków niepojętych, których niedoli może ulżyć i uchronić od potępienia wiecznego tylko miłość. — mądrość współczująca, która zna ciernistą wędrówkę dusz ludzkich, błąkających się bez światła przewodniego po szlakach zwodniczych bytu. Mówiąc o tem, jak przekonywano go, by wprowadzał do utworów swoich „osoby cnotliwe", albo starał się podnosić nieco poziom moralny swoich postaci powieściowych, Mauriac wyznaje, że usiłowania tego rodzaju nigdy mu się nie udawały, a im bardziej się starał, tem oporniejszemi były stwarzane przez niego osoby na wszelką wielkość.

Ale, powiada następnie, badając istoty ludzkie, gdy znajdują się one na najniższym stopniu i w największej nędzy, jest rzeczą piękną zmusić je do podniesienia nieco głowy. Może być rzeczą piękną wziąć ich ręce drżące, przyciągnąć ku sobie i zmusić do wydania tego jęku, jaki Pascal chciał wydobyć z człowieka nędznego bez Boga,—a to nie sztucznie, ani w celu zbudowania, lecz dla tego, że gdy to, co jest najgorsze w stworzeniu ludzkiem, zostało stwierdzone, powstaje do odszukania ten płomień pierwotny, który nie może w niem nie istnieć (p. rozprawę Mauriac'a „*Le Romancier et ses personnages*", „Powieściopisarz i jego postacie", w książce pod tym samym tytułem, 2-gie wydanie str. 222).

Tak też postępuje Mauriac, podobnie zachowuje się w stosunku do istot ludzkich, znajdujących się na najniższym stopniu nędzy moralnej; w tem odszukiwaniu i rozniecaniu w nich oczyszczającego płomienia pierwotnego, widzi on, jako artysta i jako miłujący bliźniego chrześcijanin, podwójnie rzecz piękną i zbożną. Tak czyniąc, winy ludzkiej nie osłabia, lecz winowajcę tłumaczy, grzech potępia— lecz grzesznika ratuje. Wierzy on w możliwość ratunku nędzarzy moralnych, wiara bowiem jego spoczywa na tej zasadzie niewzruszonej, iż każdy z nas wie, że mógłby się stać mniej złym niż jest. W jednym z artykułów swoich („*L'Echo de Paris*“ 10 września 1932 r.), broniąc poglądu, że posiadamy władzę stawania się lepszymi, Mauriac wyznaje, że niema takiej istoty ludzkiej, która nie widzi, albo która przynajmniej nie widziała wyraźnie tego punktu określonego, na jakim powinna siebie zwyciężyć, by zostać, jeżeli już nie świętym, to choćby uczciwym człowiekiem, w najwyższem znaczeniu tego pojęcia. Świadomość tego rodzaju, tak głęboko, podług niego, zapuściła w nas swoje korzenie, że z wielkim trudem dałyby się one wyrwać.

Psycholog, tak jasno zdający sobie sprawę z możliwości zawartych w naturze ludzkiej; moralista, przeniknięty poczuciem tragizmu istnienia naszego, nie umiejący się łudzić znikomą świetnością jego pozorów; pisarz wreszcie, unoszony wciąż religijną, żarliwą miłością wszelkich potępieńców bytu — nie zaludni utworów swoich mdłemi postaciami normalnej ludzkości, żyjącemi bez większej obrazy Boskiej i ludzkiej na chwałę własną, mającemi, z tytułu swoich cnót bezsprzecznych, jakby zgóry zapewnione zbawienie, którego wyczekują w spokoju, nietargane wątpliwościami sumienia swego.

Stroni tedy Mauriac od powyższego gatunku śmiertelnych, — zresztą dość sceptycznie nastrojony co do doskonałości ludzkiej wogóle, niewiele mający zaufania do układnej poprawności moralnej oraz cnotliwości zewnętrznej; wyobraźnia natomiast jego, jego serce i miłosierdzie dążą ku tym, których unosi potok ognisty ich żądz i pragnień udręczających ducha, ku szaleńcom krwi i ciała, do ginących z głodu uczuć — do tych nieszczęsnych, którzy nie wiedzę dokąd i jak iść, by ugasić pragnienie własne i nasycić pożądanie, w których imieniu św. Teresa wzywała Boga, by wejrzał, bowiem „nie rozumiemy samych siebie, nie wiemy czego chcemy, oddalamy się nieskończenie od tego, czego pragniemy“.

Tego rodzaju galerników bytu odnajdujemy wciąż w jego utworach, wypełnionych ich zmaganiem się z losem, ich tęsknotą, grzechem, a niekiedy nawet zbrodnią. Przeciąga tu przed wzrokiem czytelnika bolesny korowód istot ludzkich napiętnowanych stygmatem tragicznego przeznaczenia: oto prowincjonalna trucicielka, Teresa Desqueyroux, (powieść pod tym tytułem), na którą czyha jakby „straszny obowiązek“ zbrodni, niejasny dla niej samej i dla innych; i ten nieszczęsny ojciec, pozostający niemal całe życie w głuchej walce z własną rodziną; ten skąpiec, który nim nie był w gruncie rzeczy i mógł być innym, gdyby głód miłości niezaspokojonej i upokarzające poczucie jej braku, nie zrobiły z niego istoty, w której duszy zaroiło się od żmij zemsty i zawziętości. („*Noeud de Vipères*“). A dalej: oto pani Cazenave (z powieści „*Genitrix*“), matka tyranizująca z miłości zaborczej syna swego — ponury obraz wzajemnych miłości i nienawiści zarazem, kończący się klęską stron walczących; znów inny, nie mniej groźny i wstrząsający, gdzie jedni spalają się w ogniu swych żądz fatalnych („*Le Fleuve de Feu*“), inni, którym w milczącem cierpieniu upływa życie jakby na pustyni, gdzie od nikogo nie mogą spodziewać się współczucia i zmniejszenia udręki dusznej. (*Le Dèsert de l'amour*“) i t. d.

Wśród postaci Mauriac'owskich niema bohaterów „sympatycznych“, którzy wszystkim się podobają bez względu na to, co robią i jak się zachowują; niema grzeszników poważnych, że tak się wyrażę, ani cierpiących bez winy. Są to przeważnie jednostki dotknięte jakąś zarazą moralną, oddane szałom swych dusz surowych i żądzom krwi burzliwej, takie w których gnieżdżą się „złe“ uczucia, a pierwiastek materjalny ma przewagę nad duchowym. Nasza wrażliwość moralna słowem częściej im się przeciwstawia, niż pozostaje z niemi w zgodzie. Pomimo to jednak jest w nich pewna treść nam bliska, jest między niemi i nami jakaś wspólność ogólno-ludzkiej nędzy istnienia, co też nie pozwala nam uważać ich za zupełnie sobie obce, i zmniejsza w oczach naszych ich błędy oraz winy. Związek, istniejący pomiędzy niemi a nami, wyraża się tem, iż oni, ludzie grzechu, a my, ludzie cnoty, gdyż ich w danym wypadku sądzimy, ulegamy zarówno wspólnej konieczności zgubnej, mianowicie tej — że, dążąc do przedmiotów naszego pożądania, naszej miłości, kochamy właściwie same widma i cienie nieuchwytne, które wciąż nam się wymykają i zasłaniają nam światło prawdziwe. A jak tu żyć bezgrzesznie, jak można nie błądzić bez tego światła?

Postacie utworów Mauriac'a są pełne tragizmu i głęboko nas wzruszają, nie tylko dlatego, że wysoki artyzm autora w przedstawianiu ich przeżyć do tego się przyczynia, lecz dlatego, że większości z nich to „światło prawdziwe“ jest niedostępne, że same „widma i cienie“ są udziałem ich życia. Wobec jego pokus stoją najczęściej bezbronne i giną uwikłane w sidłach, jakby zgóry na nie zastawionych. Tym się należy miłosierdzie Boskie, i niem Mauriac usiłuje zawsze zasłaniać je przed potępieniem świata.

Czasami jednak to światło prawdziwe, światło wiary i miłości „tego imienia, które jest najwyższem ze wszystkich“, schodzi i na jego udręczonych i pokrzywdzonych (jak np. w „Kłębowisku żmij“ i t. p.), wówczas „podnoszą nieco głowę“, i, wychodząc z nędzy istnienia, wznoszą się na wyżyny duchowe.

Jednakże zarówno ci, co je osiągają, jak i ci, którzy pozostają na jego nizinach, lepsi i gorsi słowem — wszyscy oni, wskutek tego, iż reprezentują głęboką treść bytu ludzkiego, z powodu tych tortur, przez jakie przechodzą oraz innym zadają; tych żądz, pokus strasznych i niepokojów nieustępujących z duszy, jakim ulegają, — pozwalają nam jaśniej widzieć nasze własne serca i mieć dla innych więcej szczerego współczucia.

A, nie mówiąc już o istotnem zadowoleniu estetycznem, jakiego niemało zawdzięczamy sztuce Mauriac'a, prawdziwą jej zasługą jest powyższe, podwójne dobro, jakie nam ona przynosi.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

NA WIDOWNI

O zaburzeniach umysłowych i kliszach astralnych. — Śmierć chłopa pod uciskiem Karmy. — Jasnowidząca z Wisły, świat astralny i polityczny. — Prof. Lutosławskiego metafizyka spirytualistyczna. — Tajemnica zakonu dobrych braci.

Wyczytuję w dziennikach opis faktu, że w pewnej wsi pod Płockiem chłop pod wpływem lektury broszur „Badaczy pisma świętego“ podpalił chatę i sam w niej zgorzał. Uczynił to w obłędzie sekciarskim, wmówiono mu bowiem, że ktoś musi się poświęcić i ponieść ofiarę, aby odkupić świat, ginący w grzechu. Tamże pod Płockiem niegdyś, za namową Marjawitów, włościanie wyprzedawali za bezcen mienie, jako że zbliżał się koniec świata.

— — — — — — — — — — — —

Tej wiosny, będąc w Wiśle, kupiłem na stacji kolejowej w „Ruchu“ książeczkę z datą: Wisła 1933. Tytuł „Spojrzenie w przyszłość — napisała Jasnowidząca Agnieszka P. z Wisły“. Stron 94, wydanie bardzo przyzwoite. Jest to już jedenasty tom bibljoteki wydawanej przy miesięczniku „Hejnał“, wychodzącym też w Wiśle. Według katalogu: jest to „miesięcznik wiedzy duchowej — jedyne tego rodzaju pismo w Polsce... Urozmaiconą treść pisma wypełniają wybitne prace miejscowych i zagranicznych autorów z dziedziny medycyny okultystycznej, spirytyzmu, astrologji, etc., dające całokształt wiedzy ezoterycznej“. Redaktorem pisma i bibljoteki jest jakiś J. K. Hadyna.

Pani Agnieszka wydała już kilka książek; są tam i powieści z przygodami zaświatowemi. Widziałem tę kobietę: jest to p. Pilchowa, żona b. nauczyciela ludowego, Czeszka z pochodzenia. Postać, jak to na wsi śląskiej, półludowa; niewiasta krzepka i zażywna, w sile wieku, ma dorosłe dzieci.

Przedmowa w jej książce, pisana przez redaktora, zaczyna się oczywiście przerażająco: „Na szarą ziemię coraz to gęstszy zapada zmrok, coraz to większa ciemność zasnuwa horyzonty... Któż z miljonów ludzi wie, co im gotują losy“? Ale Opatrzność wybrała na globie wyjątkowe jednostki, którym dano oglądać „wyroki jednostek i narodów...“ I narodów — mamy więc i politykę.

Oczywiście „płyną do redakcji długie szeregi tragicznych listów. Okrzyk nędzy i bólu wydziera się z każdego zdania. Słowa kreślone pod dyktandem rozpaczy, zroszone łzą niedoli pytają o przyszłe jutro...“

Jasnowidząca za punkt wyjścia bierze sny, przenoszące nas w sferę niewidzialną dla oka zwykłego, gdzie jednak wszystko ma swoje „klisze astralne“. „Niektóre medja—powiada—popychane silną wolą hipnotyzera, odłączają się duchem od ciała i patrzą w tę gmatwaninę klisz astralnych.

Są dwa plany: plan fizyczny i plan astralny. Ciało zostaje na pierwszym planie, sztywne i martwe, a duch uszedł tam. Wszystko światło wziął w oczy i „świeci niemi jak dwiema latarniami, niby lokomotywa pędząca w ciemnościach nocy — i patrzy“... Pędzony cudzą wolą, jak pociąg (ten duch) miażdży po drodze — huk i trzask — istne trzęsienie ziemi. Tego duchy delikatne się lękają.

Ale są medja, które autosugestywnie tam wznoszą ducha przez ciekawość. „Duch, rozglądając się dokoła siebie, depeszuje po falach magnetycznych, któremi jest złączony z uśpionem ciałem, to, co widzi“.

Są znowu medja—jakże mało ich na ziemi, a taką właśnie jest Agnieszka — które świadomie „pomagają z tej ziemi zwalczać zło po tamtej stronie, przyłączając się do dobrych wojowników, spieszących z przestworzy na ratunek ziemi i ludzkości“.

To jest praca, walka, a potem znużenie. Bo wtedy dusza dźwiga nie tylko krzyż własny, ale „karmę“, winy cudze.

Obłąkanie, to „przepalony astral“. Ciała astralne, ściągnięte na ziemię, pożerają nas niczem hjeny. „Karma“ to kapitał grzechu „wielu miljonów lat“ dziejów ludzkich... Następuje długi i nudny wykład. Ale oto p. Agnieszka wieszczy o Polsce. Słuchajcie, słuchajcie.

„W r. 1914 groźne larwy, wampiry i przeróżne dusze drapieżne, odziane w ciała astralne, płynęły naokoło ziemi, jak ryby w morzu, czatując na swoją ofiarę. Rzucały się i na ludzi i na duchy, a niewidzialni podżegacze szczuli je: rwij, duś!...“

„Na świecie rzadko kto zorjentował się, jakie koszmary go otaczają i zmuszają do przelewu krwi. Najwięcej wiedziały o tem konie, to też lęk okrutny malował się w ich oczach i stawały dęba, kiedy kłute ostrogami pędzone były na pole walki. A tam krew ich, zarówno jak krew rannych i zabitych żołnierzy stanowiła żer dla niewidzialnych hjen, które pochłaniały z niej pranę życia, w ciepłocie jej magnetycznej tarzały się duchy z szatańskim śmiechem i wyciem piekielnej sadystycznej radości i rozkoszy“.

Straszne były czasy wojny, ale p. Agnieszka wieszczy, że bodaj lepsze były, niż obecne. „Chmury karmiczne“ zwisają coraz bliżej, „klisze astralne“ — ona to widzi — „gęsto są zbite“. Spadek karmiczny kłębi się z nowemi złemi pomysłami. Duchy gadają o końcu świata.

Jasnowidząca Agnieszka widzi jednak świetlaną dla Polski przyszłość. „Wiele opadło na ziemię takich klisz, na których widniały wspaniałe pałace, a w nich ludzie o sercu zatwardziałem (kwestja socjalna!). Pani Agnieszka mówi to i owo o Chinach i Japonji. Na kliszach „najbliżej ziemi“ widzi — „już na r. 1933 zakreślone odebranie Górnego Sląska i wszystkich innych skrawków ziemi, które niby to bezprawnie zostały odjęte naszym braciom Niemcom“.Przepowiada, że w celu prowokowania wojny czynione będą gwałty na obywatelach polskich tam,niemieckich tu. „Nieszczęsne duchy zacierają ręce z radości“. A na kliszach widać wszystko, co się robi i drukuje w tej sprawie. Klisze są już prawie na ziemi, niebezpieczeństwo tuż. A było to — dodam — pisane w styczniu r. 1933.

Dalej czytam przepowiednie co do żydów. „Na mocy Karmy ma się rozpętać walka przeciw żydom i prześladowanie ich w całej Europie i Ameryce, przeplatane ugodami, gdzieby im było wolno osiąść, oraz podkupywaniem się i wciskaniem do wielu państw“.

Przepowiada dalej stosunki między Sowietami i Polską. W murze, dzielącym te kraje, robią się okienka. Zapowiada układy, wymiany handlowe i t. d. Mamy też całe nabożeństwo na część sąsiada Masaryka. Mówiąc o Polsce, obszernie rozwodzi się o kliszy Narutowicza, Niewiadomskiego i in. Są to rzeczy zbyt drażliwe, aby je tu powtarzać.

Może wogóle za wiele miejsca poświęciłem p. Agnieszce, ale chodziło mi o skromny wniosek. Z paplaniny teozoficznej o kliszach astralnych widzimy, jaki to poziom umysłowy. Sekt jest wiele w siedliskach protestanckich; na Śląsku Cieszyńskim kłębi się ruch teozoficzny, cieszący się szczególną

tolerancją pastorów — dziwną tolerancją. Ciemnota i zabobon mają tu swoją akademję. Istnieje w Wiśle, wśród tego najlepszego ludu, sekta np. Sabatystów. Ci, żeby uniknąć końca świata, obchodzą niedzielę w sobotę. I niema kto im tego żydostwa wyperswadować.

Ale wniosek. Skąd taka kobiecina, jak p. Agnieszka w głuszy beskidzkiej, nie czytając gazet, na poziomie swej zabobonnej wiedzy o życiu, tak precyzyjnie zna się na polityce zagranicznej i wewnętrznej? Nikt tam w Wiśle nie umiałby wymienić nikogo z Warszawy, a ona wie wszystko i właśnie tak wie, jak nasi masoni i spiskowcy w Warszawie. Odpowiedź prosta: tą szkołą naiwnych medjumistów kierują siły astralne, doskonale informowane zgóry. Taki redaktor, „duchowy opiekun“ jasnowidzącej podsuwa jej klisze polityczne, pod koniec roku widocznie nadsyłane, a ta wieszczy. Niechże się żydzi zastanowią, jak się to dzieje, że już w styczniu p. Agnieszka wiedziała o tem, co się będzie z nimi działo w Niemczech.

— — — — — — — — — — — —

Przeczytałem świeżo osobliwą książkę słynnego filozofa Wincentego Lutosławskiego „Jeden łatwy żywot“ (Warszawa 1933. T. Hoesick). Opowiedziawszy, jak na spowiedzi, swoje dzieje dotychczasowe, zapowiada, że na resztę dni w 70-ym roku życia osiądzie pod Cieszynem i tam na wsi założy instytutut filozoficzny pod nazwą „Kuźnicy“. Autobiografja jego jest właściwie prospektem tej nowej jego akcji na terenie Śląska. Głosił już w setkach wykładów swoją wiedzę o duszy po całym świecie w paruset miastach, wykładał na kilku katedrach, ostatnio 10 lat w Wilnie. Nauka urzędowa potraktowała jego poglądy nieufnie, sprawa oparła się nawet o ekspertyzy psychjatryczne; on jednak nie wyrzekł się swej misji.

Wyznał w pamiętniku, choć to rzecz tajemna, że w r. 1902 wciągnięty został do Zakonu Dobrych Templarjuszy, a w r. 1904 w Sztokholmie wszedł do najwyższej loży tego Zakonu.

Tej okoliczności świat zawdzięcza, iż stał się działaczem społecznym. Do największego rozgłosu doszedł w Polsce w czasie organizowania akcji eleuterycznej (poczwórnej wstrzemięźliwości) i wydawania „Eleuzis“. Wtedy powstał ród Elsów. Praca ta, jak teraz przyznaje, była poroniona, na błędnych zasadach oparta. Teraz będzie Kuźnica.

Nauka Lutosławskiego — trzeba to wyznać — aczkolwiek zbudowana na wyżynach filozofji metafizycznej, ma coś wspólnego z zabobonnym poglądem „Hejnału“ wiślańskiego. Lutosławski zaczął od odkrycia — tak to nazywa — jaźni. Było to jeszcze w młodości w czasie wytężonej pracy umysłowej nad filozofją niemiecką. Pewnego dnia doznał olśnienia, które mu dało ująć w sposób wewnętrznego widzenia własną jaźń, jako byt spirituałny, całkiem indywidualny, — w całym łańcuchu odwiecznej preegzystencji.

Ten fakt stał się podwaliną jego oryginalnej teorji — pluralistycznego spirituałizmu. Każde stworzenie (człowiek, czy roślina, anioł, archanioł, czy Bóg ewentualny; nie wierzył jeszcze wtedy w Boga) posiada swoją indywidualną jaźń, nadającą się do kształcenia wysiłkiem wolnej woli, mogącą dojść do najwyższej potęgi. Świat jest zbiorowością duchową, gdzie panują jaźnie nad swemi bytami. Lutosławski doskonale pamiętał, w co obleczona była jego jaźń w czasach Grecji Peryklesa — był wtedy ślusarzem. Te jaźnie człowiekowi prostemu można wyłożyć postaciowo, jako klisze — nieprawda?

Już w drugiej połowie życia, udręczony przewlekłą chorobą zapadów okresowych nerwowych, poddając się zabiegom fizycznym, razu pewnego w łaźni doznał natchnienia: coby to było, gdyby tak, jak teraz zmywa ciało, oczyścił duszę? Poszedł do spowiedzi i w ciągu kilku godzin opowiedział księdzu swoje życie. Dostąpił wtedy łaski poznania Boga. Uważa to za drugie swoje odkrycie, o którem się wyraża: odkryłem Boga.

Oddał się tedy praktykom religijnym, ale nie poprzestał nauki o jaźni i potędze ducha równorzędnej duchowi Boskiemu. Wywoływało to kolizje z władzami duchownemi. Pewnego razu w r. 1909 — opowiada o tem w pamiętniku — zmuszono go po wykładach o religji, aby się wytłumaczył przed spowiednikiem. Zawieziono go do Nowego Miasta do ojca Honorata. Postanowił przemilczeć kwestję herezji.

„Gdym skończył spowiedź — opowiada Lutosławski — ojciec Honorat zapytuje, czy w pismach nie szerzyłem szkodliwych błędów? Na moją odpowiedź przeczącą unosi się i przytacza wykład wstępny w uniwersytecie Lozańskim o Mickiewiczu. Mówi, że mi nie da rozgrzeszenia dopóki tego, com napisał, nie odwołam.

— Jeżeli Papież potępi, to wycofam z obiegu księgarskiego tę broszurkę.

— Ale ja ci nie dam rozgrzeszenia!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — żądam rozgrzeszenia, bo za wszystkie moje grzechy, które sumienie mi wyrzuca, czuję żal szczery!

Kilka razy musiałem to wezwanie powtórzyć coraz głośniej, nim ojciec Honorat ustąpił i rozgrzeszenia udzielił.

— Nigdy nie miałem takiego penitenta! — rzekł przytem.

— Bo nigdy jeszcze ojciec filozofa nie spowiadał — odrzekłem (s. 206).

— — — — — — — — — — — —

Nie mogę sobie wyobrazić, jak się ustosunkują do siebie swemi poziomami katedra filozoficzna Lutosławskiego, umysłu tak niepospolitej wiedzy, z wykładami teozoficznemi p. Hadyny i p. Agnieszki Pilchowej. Jaki sposób współżycia znajdzie Zakon Dobrych Templarjuszy, — nie nam się o to troszczyć.

Pominąłbym może milczeniem książkę prof. Lutosławskiego, gdyby nie okoliczność, że autor ogłosił jeden rozdział z tej książki w żydowskiem piśmie „Wiadomości Literackie“, aby tam złożyć świadectwo, że nie ma nic wspólnego z obozem nacjonalistów, którzy są materjalistami, względnie pozytywistami. W ustępie tym z lekceważeniem i złą wolą potraktował osobistości w swoim czasie do niego towarzysko zbliżone i bardzo dla niego życzliwe: Dmowskiego, Popławskiego i Balickiego. Oczywiście musiał przenosić nad nich Szczepanowskiego i Odrzywolskiego, ale owym nacjonalistom nie przyznał się przecież, że należy do masonerji. Nie byliby go darzyli zaufaniem.

Wiele rzeczy mętnych klaruje się przy bliższem wejrzeniu, a „klisze astralne“ konspirowanych stosunków stają się dostępne dla oka zwykłych śmiertelników. Trudno przytem oprzeć się przykrym refleksjom, na jak wielki nieład i obskurantyzm obliczone są te stosunki. Ileż umysłów, nieraz utalentowanych i wysoko wykształconych, któreby mogły iść szerokim gościńcem (śladem jeśli nie Śniadeckich, to Gołuchowskich), marnieją w roli medjów. Nie liczę już tych prostodusznych, którzy podpalają dom, aby zgorzeć w ofierze.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

WSZECHŚWIATOWA KONFERENCJA GOSPODARCZA w Londynie została odroczona bezterminowo, nic nie wskórawszy dla gospodarczego poratowania świata. Była zupełnie bezowocna. I może przez to właśnie dość pouczająca i pożyteczna. Wszystko tak się wyreżyserowało, żeby kompromitacja przedsięwzięcia była jaknajwiększa. Nie było jeszcze wypadku, żeby tak olbrzymia góra mimo wysiłków nie potrafiła urodzić nawet myszy. „Górę“ nagromadzono istotnie monstrualną. Tłem, nie na żarty poważnem, był dla niej coraz groźniej wyniszczający państwa kryzys gospodarczy. Cały ogrom zagadnień się spiętrzył, z których każde było prawdziwą bolączką dla zainteresowanych. Zaklęcia i inwokacje, które poprzedziły konferencję, były może uroczystsze, niż kiedykolwiek w podobnych wypadkach. Ekonomiści i ludzie sfer gospodarczych we wszystkich krajach świata przytakiwali, że chodzi o rzecz niezwykle ważną. Imponowała obecność niemal wszystkich państw globu, reprezentowanych przez bardzo liczne czasem delegacje. Na domiar efektu gmach, w którym odbywały się posiedzenie, wyposażony był we wszystkie najbardziej nowoczesne urządzenia techniczne. I okazało się, że zupełnie nie było poco się zjeżdżać, że to była loterja, a nie konferencja. Grano przedewszystkiem na współpracę Stanów Zjednoczonych w sprawach walutowych. Lekkomyślność tej gry szczególnie się uwydatniła dzięki niedyplomatycznemu zgoła zredagowaniu orędzia prezydenta Stanów Zjednoczonych do członków Kongresu. Tamci zapraszają do współpracy, zaklinają w imię dobra wszystkich, a Stany ani słyszeć o tem nie chcą. Niesłychanie swobodny, niemal frywolny ton odmowy prezydenta stanowił znakomity odczynnik na uroczyste nastroje przy otwarciu obrad. Stało się jasnem, że Anglja, państwo organizujące konferencję, nawet tego nie wiedziała, jakie stanowisko w najważniejszych sprawach zajmą Stany Zjednoczone. Na nic się nie zdało lizusostwo tych żywiołów, które w Anglji wołają o współpracę ze Stanami za wszelką cenę. Moment, przeznaczony na współpracę wszystkich, Stany wybrały (bez specjalnej zresztą intencji po temu) do zademonstrowania, jaki „świat“ jest rozbity. Jedyną realną siłą okazały się nieuzgodnione nacjonalizmy poszczególnych narodów. Z nacjonalizmów tych „świat“ składa się dziś niemal bez reszty.

CZY OZNACZA TO KRES ERY częstych konferencyj międzynarodowych? Niekoniecznie. Pacyfizm i wszelkie inne podobne tendencje międzynarodowe ujawniły wprawdzie swą niezaradność i wręcz niemoc. Ale pamiętać należy, że to nie one wcale były przyczyną tak częstego zwoływania kongresów międzynarodowych. Prawdziwym promotorem był nacjonalizm, czy nacjonalizmy tych państw, które spodziewały się coś na konferencji wygrać. Inne wysilały się, aby ewentualny ten zysk unicestwić. Dlatego tak często pakty i konferencje były aż komicznie nikłe w treści. To nie czczość haseł międzynarodowych w nich przebija; to walka nacjonalizmów tak wypróżnia uchwały z treści. Zostaje na placu to co było przedtem: nacjonalizmy, nieskrępowane polityki narodowe. Rozlegają się głosy, potępiające niepotrzebne konferencje i bezużyteczne fakty. Poczem znów któreś państwo podejmuje nową inicjatywę. Nikt nie krępuje się złorzeczyć paktom, a potem dorzucić pakt nowy do archiwów dyplomatycznych, skoro inicjatywa wydaje się w jego interesie. Świeżo przykład tego dał Mussolini. W poniedziałek ostatni wystąpił z artykułem przeciwko konferencjom; poprzednio nieraz występował przeciw papierowym paktom. I prawie jednocześnie podpisany został pakt 4-ch, powstanie swe zawdzięczający Mussoliniemu; z treści swej jeden z najbardziej czczych i bezsensowych dokumentów, jakie znają dzieje powojenne. Coprawda nie tem miał być wedle pierwotnego projektu włoskiego, ale sens swój stracił na skutek zmian, stopniowo wprowadzanych, aż została sama czczość, która okazała się do przyjęcia dla całej czwórki. Francuska księga niebieska podaje do wiadomości publicznej aż sześć różnych tekstów, z kolei proponowanych przez rządy czterech mocarstw. Niewątpliwie różnych propozycyj w formie mniej ustalonej było jeszcze znacznie więcej. Celem pierwotnym Mussoliniego było zapewnienie rewizji granic w Europie pod przymusem ze strony czterech mocarstw. Cel ten okazał się dla rządu polskiego taką niespodzianką, że, jak wiadomo, odwołano nowomianowanego do Rzymu ambasadora, zanim zdążył wyjechać. Dyplomacja polska we Włoszech nie stanęła na wysokości swych zadań, to pewna. Czy lepiej spisała się gdzieindziej w trakcie długich rokowań, poprzedzających podpisaniu paktu? Z tego, co dziś wiadomo, wydaje się pewnem, że aktywność dyplomacji polskiej znacznie była mniejsza, niż zabiegliwość państw Małej Entente'y, których posunięcia o wiele więcej przyczyniły się do ustalenia treści paktu w brzmieniu dzisiejszem.

W NASZEM ROZUMIENIU PAKT CZTERECH NIE ZMIENIA SYTUACJI POLITYCZNEJ w Europie i sam przez się nie wnosi nic nowego. Podpisanie go oznacza przedewszystkiem zadowolenie ambicji Mussoliniego, który zaangażował się najwięcej. Nie oznacza jednak izolowania Francji w zespole mocarstw. Francja jest wprawdzie jedna przeciwko trzem, ale tak było i dawniej. „Zespół“ też, jak dawniej nie istnieje. Przegłosować się wzajemnie w dyrektorjacie czterech nie można, tembardziej, że z paktu wcale nie wynika, żeby taki dyrektorjat wogóle miał powstać. Zostają więc po staremu: Francja ze swymi sojusznikami, Włochy, próbujące odegrać większą rolę w polityce europejskiej, Niemcy Hitlera, i Anglja ze wszystkiemi swojemi problematami. Na kształtowanie tej rzeczywistości mgliste postanowienia paktu czterech nie będą miały żadnego wpływu i nikogo nie związały. Niewątpliwie też niezależnie od paktu sprawa rewizji granic wypłynie ponownie w polityce międzynarodowej. W Anglji, która poza zainteresowanemi Niemcami najwięcej wytwarza nastrojów przychylnych tym dążnościom, wszystkie właściwie partje polityczne są za rewizją kosztem Polski. Idjotyczny zaiste był odruch tych polskich kół politycznych, które pośpieszyły dziękować angielskiemu mężowi stanu za to, że oświadczył, iż rewizja może być dopiero po zmianie rządu w Niemczech. Obecnie zresztą i tego się nie wymaga. Sir Austen

Chamberlain w ostatniem swojem odezwaniu się w izbie gmin jako warunek rewizji wskazał tylko, „że Niemcy muszą udowodnić, że chodzi im o umiarkowane, sensowne i możliwe do przyjęcja zmiany w traktatach pokojowych, i że te zmiany uznają za ostateczne“. We Włoszech sympatje dla Niemiec wzrosły jeszcze po objęciu władzy przez Hitlera, prócz tego wierzy się tam, zdaje się, że dla odwrócenia uwagi Niemiec od Anschlussu potrzebne im są rekompensaty gdzieidziej. Francja, jak nieraz dotychczas, wystawiona będzie na pokusę pozbycia się sojuszów, mogących ją zaplątać w wojnę... Nic w tem wszystkiem niema istotnie nowego, ani pogarszającego specjalnie położenie Polski. To pewna, że zadania przed urzędową polityką polską nie zmniejszą się wcale; i że błędami można stan rzeczy niebezpiecznie pogorszyć. Czy Polska, hodująca swoje rozbicie wewnętrzne, zdolna jest do prowadzenia wydajnej polityki zewnętrznej?

CHORZY na megalomanję cierpią jednocześnie na manję prześladowczą. Antysemityzm jest przez żydów do rozmiarów potworności wyolbrzymiany — zresztą świadomie, celowo i praktycznie. Cboroba jednak zawsze, nawet z praktycznych czynów wyziera, o czem niedawno raz jeszcze przekonać się można było ze zwrotu publicysty p. S. H. w jednym z jego szkiców, w żydowskim "Naszym Przeglądzie“ stale zamieszczanych. Mówiąc, mianowicie, o rasowej teorji Hitlera i o niemieckim obłędzie "narodu panów“, publicysta żydowski taką mimochodem rzuca uwagę:

„Nawiasem mówiąc, pod tym względem hitleryzm przejmuje teorję „narodu wybranego", którą antysemici przypisują żydom“.

Znany jest wprawdzie „delikatny“ stosunek żydów do wszelkiej prawdy. Ale tu już chyba nie sama delikatność przemawia. Antysemityzm wymyślił teorje „narodu wybranego“, złośliwie przypisał ją żydom, napisał w tym celu całą Torę, wymyślił istnienie Mojżesza i proroków żydowsikch, w wyniku zaś tych fałszerstw podstępnych opracował historję żydostwa, której wcale nie było, i ostatecznie — antysemityzm jest paskudnym twórcą manekina: narodu żydowskiego.

Tak oto z megalomanji poprzez manję prześladowczą zjeżdża się do mikromanji. A wszystko przez „delikatność“!..

NAUKA I LITERATURA

DWIE POWIEŚCI JÓZEFA BIENIASZA

WPOWODZI piętrzących się zagadnień i w zalewie nowych zjawisk nader mało zwróciliśmy dotąd uwagi na sprawę literatury przeznaczonej dla młodzieży. Młodzież polska żyje dotąd tem, co jej pozostawiły czasy przedwojenne, karmi się literaturą, zapisaną coprawda złotemi głoskami w historji naszego piśmiennictwa, ale przeznaczoną na inne czasy, nie wypełniającą w całości i dostatecznie potrzeb współczesnego życia i jego ideałów. Powieści historyczne budowały serca wielu młodych pokoleń, budząc w nich najgorętsze porywy, wychowując zastęp szczerych i gorących patrjotów polskich, przywiązanych mocno do narodowej tradycji. I to jest wielki i niezapomniany kapitał, jaki literatura ta wniosła w życie Polski i którego i w przyszłości żadną miarą pozbywać się nie będziemy mogli. Wielkie ogniska choćby literatury sienkiewiczowskiej pozostaną na zawsze trwałemi fundamentami siły i tężyzny moralno-obywatelskiej młodych Polaków. Pod tym względem wszelkie próby zniszczenia czy zamazania tej prawdy winny i muszą się spotkać z energicznym protestem i odporem całego społeczeństwa.

Niemniej jednak nowa epoka, w jaką wszyscy wchodzimy, która przewraca świat do góry nogami i natarczywie dopomina się o formułowanie właściwych norm i idei — wymaga uwagi i na odcinku literatury dla młodzieży. Bodaj-że na nim winna się skupić najżywsza pod tym względem uwaga, skoro treścią dzisiejszych czasów jest właściwie walka o dusze młodego pokolenia. To, z czem wzrośnie ono dzisiaj, będzie jedyną treścią polskiej przyszłości. W chaosie dzisiejszych walk — jak mi się zdaje — zbyt mało pamiętamy o tej sprawie. Prądy ideowe, które chcą zdobyć młode pokolenie nie mogą ograniczać się wyłącznie do propagandy ideowo-politycznej wśród młodzieży. Nie zawsze jest ona dostatecznie zrozumiała i dostępna dla niej. Sięgać raczej należy do codziennego życia młodych ludzi, zastosować metody i środki do ich zainteresowań, sięgnąć najgłębiej do ich serc zwyczajnem, niewymyślnem słowem, zaprząc ich od zarania do myślenia i postępowania zgodnego z światopoglądem, który ma się stać przewodnikiem przez całe życie. Literatura staje się w tym zakresie pierwszorzędną furtą, przez którą można wejść w narastające szeregi.

Literatura współczesna nikogo zachwycić nie może. Jest albo niezrozumiała i zawiła, albo posiada tendencje conajmniej amoralne lub wręcz antymoralne i antyspołeczne. Zalew literatury bolszewickiej i żydowskiej jest wprost zastraszający. A przecież dzień po dniu wnika ona w społeczeństwo i przedostaje się do rąk młodych, którzy czerpią z niej natchnienie. Niema słów, aby przestrzec dostatecznie przed grozą i niebezpieczeństwem z tej strony.

Z radością też i miłą satysfakcją powitaliśmy utwory nieznanego dotąd talentu, który w kilku ostatnich miesiącach sprezentował nam dwie inauguracyjne książki z rzędu zapowiedzianej trylogji.

Mówimy o powieści lwowianina Józefa Bieniasza, który wydał ostatnio dwie książki dla młodzieży: pierwszą p. t. „Edukacja Józia Barącza“ i drugą p. t. „Maturanci“; trzecia z rzędu p. t. „Korporanci“ ma się ukazać niebawem.

Obie dotąd wydane powieści pisane są dla młodzieży o młodzieży. Obserwujemy w nich pierwszorzędny talent pisarski autora, jego szybki rozwój i możliwości. Powieść jest historją młodego chłopca wiejskiego, który dostał się do szkół miejskich i przeżywa w nich wszystkie radości i smutki, związane z codziennem życiem i jego trudami. Autor znakomicie operuje skalą wrażeń i przeżyć, przez jakie przechodzi młody chłopak, maluje obrazy zarówno pełne prawdziwego, w niczem niekłamanego humoru, jak i umie wstrząsnąć dramatycznemi epizodami gehenny młodego serca rzuconego samopas na gwałtowne fale życia. Zadziwiająca jest umiejętność malowania przyrody, której niektóre obrazy przykują niejednego młodego czytelnika, budząc w nim najszlachetniejsze dreszcze. Powieść pozbawiona jest w zupełności pierwiastku erotycznego, a mimo to — daleka od cienia świętoszkowatości czy udanej pruderji — jest od początku do końca żywa i bardzo interesująca.

Ale co najbardziej w niej zasługuje na uwagę, to jej zasadnicza idea, która przewija się przez powieść złotą nitką: jest to idea mocnego, twardego, nieugiętego ani na krok zmagania się z przeciwnościami losu; walka o każdy skrawek miejsca w życiu, ciężkie borykanie się, ale zawsze zwycięskie z trudami, które hartują. W czasach, kiedy przez cały świat idzie nieustanna propaganda gloryfikowania lekkich sukcesów, podziwiania rekordów bez żadnego w nich współdziałania, kiedy stała się modna manja gapiostwa na cudzy, rzadki zresztą, wysiłek — idea szarej, codziennej pracy jest aż nadto pożądanem *antidotum*. A skoro w książkach Bieniasza otaczają

ideę trudu najpiękniejsze promienie miłości Boga i ojczyzny, serdecznej, prostej miłości synowskiej i przywiązania do ziemi rodzinnej — to choćby i znaleźć pewne usterki, stają się one dobrym nabytkiem, zdrową strawą i wypełniają chociaż częściowo panującą lukę.

Jeśli zaś już co można zauważyć prócz tego w dwu nowych książkach, to — zdaniem naszem — dwa niedociągnięcia: tło wypadków, które można było przenieść na czasy powojenne, przez co indywidualność bohatera byłaby się mocniej uwydatniła i zaktualizowała. Druga sprawa dotyczy kwestji występujących w powieści żydów. Autor w niczem oczywiście ich nie idealizuje, bo zapewne dobrze rozumie rolę żydowskich współkolegów w szkole, ale traktuje ich zbyt szablonowo, według starych przepisów, obowiązujących w dawnej literaturze; żydki Bieniasza to śmieszne, lękliwe postacie, z których można się tylko uśmiać. Nie jest to właściwe stawianie sprawy. Można o żydach nie pisać, skoro nie są głównym tematem powieści, ale skoro się już pisze, to nie wolno traktować ich jako niemającą właściwie znaczenia drobnostkę społeczną. Powieść dla młodzieży w założeniu swojem musi mieć tendencję wychowawczą. Młode pokolenie polskie musi być zaś wychowywane w pełnem zrozumieniu i poczuciu niebezpieczeństwa żydowskiego — bez żadnych niedomówień. Autor „Edukacji Józia Barącza“ i „Maturantów“ powinien o tem pamiętać i dostosować się w przyszłości do tej nowej, koniecznej potrzeby. Ma bowiem do czynienia z młodem, narastającem pokoleniem, które potrzebę tę wyczuwa i daje jej wyraz.

KLAUDJUSZ HRABYK

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prof. filologji klasycznej, Tadeusz Sinko, znajdzie zawsze chwilę czasu i dla literatury polskiej. Oto znów w oddzielnej odbitce ukazał się jego szkic p. t. „Klasyczny laur Norwida“ (druk. w „Przegl. Powsz.“ 5 — 7, b. r.). Rzecz jak zawsze u Sinki, przynosi kilka nader cennych szczegółowych spostrzeżeń, wzbogacających naszą wiedzę o Norwidzie i pokazujących dowodnie, jak głęboko i trafnie przenikał poeta w głąb klasycyzmu (np. na str. 57, 61, 76, 162, 172, 177—8), obok tego jednak nuży czytelnika jałowe i nietrafne streszczenie (!) takich rzeczy, jak Kleopatra i Quidam, których intencyj twórczych prof. S. zupełnie nie przenika, np. nie rozumie zgoła dramatycznych starć pomiędzy Cezarem a Kleopatrą, nie chce dostrzec wspaniałego rysunku rzymskich wnętrz, i wogóle co krok żywi do Norwida dziwne pretensje, oparte zawsze na niedokładnem czytaniu. Ze względu jednak na owe spostrzeżenia, wkład to cenny do literatury o Norwidzie. (S. C.).

*

Pośród cennych wydawnictw Instytutu Bałtyckiego ukazało się dzieło Bożeny Stelmachowskiej. „Rok obrzędowy na Pomorzu“. (Toruń 1933, str. 271 + XI. Cena 10 złotych. Skład główny: Kasa im. Mianowskiego w Warszawie). Część pierwszą wypełniają objaśnienia wstępne i przegląd literatury. Część II: Obrzędy doroczne a potem przegląd całości materjalu, porównania i wnioski, materjały uzupełniające, legendy i podania, zwyczaje rolne, bartnicze i domowe.

Nie mniej cenne jest nowe wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego: ks. Władysław Łęga. „Ziemia Malborska“. (Toruń 1933, str. 254 + XVIII, 180 rycin. Cena 12 zł. Skład gł. Kasa im. Mianowskiego w Warszawie). Treść: Geografja i topografja. Wzmianki historyczne. Ludność. Gwara. Rozdział II. Kultura materjalna. Rozdział III. Kultura społeczna. (Obrzędy, zwyczaje, prawo ludowe). Rozdział IV. Kultura duchowa, (tutaj mamy cały folklor), w aneksie słowniczek.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Na czasie ukazała się pod koniec roku ubiegłego książka Kazimierza Smogorzewskiego o Pomorzu napisana po francusku *La Poméranie polonaise, avec 40 cartes dont 5 en couleurs et 40 illustrations hors texte*, Paris, Gebethner et Wolff, 1932, str. XVI+462+4 nlb).

Pomówmy przedewszystkiem o zaletach tej potrzebnej książki, bo są rzeczywiście duże. Smogorzewski, dobry dziennikarz i publicysta, posiada bystry zmysł orjentacyjny. Dzięki temu książka ma dobre rozplanowanie materjału i równie dobry zbiór źródeł. Pierwszy rozdział poświęcony jest przeszłości Pomorza, drugi odrodzeniu państwa polskiego, potem mamy Polskę na konferencji pokojowej, zaludnienie Pomorza, świetny rozdział o korytarzach na świecie, jak się okazuje bardzo licznych nietylko w Europie ale i w innych częściach świata. Następnie autor opisuje odbudowę ekonomiczną Polski, przyczem omawia bojkot ekonomiczny Polski przez Niemcy i wojnę celną niemiecko-polską. Osobny rozdział przeznaczony jest Gdańskowi, w innym znów rozdziale Smogorzewski opisuje „cud Gdyni“, stwierdzając w dwu rozdziałach następnych, że oba porty są Polsce potrzebne, bo oba się uzupełniają i żaden nie może rościć pretensji do wyłącznego monopolu. W rozdz. XI autor opisuje tranzyt niemiecki handlowy i osobowy przez Pomorze i odpowiednie w tej mierze umowy, a rozdział ostatni poświęcony jest Prusom Wschodnim; porusza tu autor stosunki ludnościowe, wykazując, tereny zamieszkałe przez Polaków, wskazuje na parodję plebiscytu na Warmji i Mazurach, zwraca uwagę, że Osthilfe to jest subwencjonowana germanizacja. Smogorzewski starał się korzystać przedewszystkiem ze źródeł niemieckich i te właśnie źródła w sposób uderzający stwierdzają polskość Pomorza.

Książka mogłaby stanowić doskonały podręcznik dla cudzoziemców, który wyczerpuje materjał, dotyczący Pomorza, gdyby nie jedno „ale“ i to poważnej natury. Sądzimy bowiem, że książki, pisane dla zagranicy, powinny unikać niepotrzebnego wyciągania swarów i waśni, krótko mówiąc niezgodne z prawdą i szkodliwe jest przekonywać cudzoziemców o tem, że w czasie wojny był tylko jeden obóz niepodległościowy, t. j. Piłsudczycy, kiedy w piętnastym roku państwa niepodległego wiemy już dobrze, że było zgoła inaczej. Ten rozdział jest zupełnie niepotrzebny“. Raczej szkodzi niż pomaga, o czem najlepiej wiedzieć powinien sam autor.

A powtóre, jeżeli książka Smogorzewskiego ma stanowić kompendjum dla zagranicznych polityków, dyplomatów, dziennikarzy i t. p., to jest stanowczo za obszerna. Któryż cudzoziemiec będzie miał cierpliwość, zeby przebrnąć przez te prawie pół tysiąca stronic? A wiemy, że p. Smogorzewski pisze doskonałe rzeczy i w krótkim zarysie. (W. W.).

NOWE KSIĄŻKI

Daniel-Rops H. Dusza w mroku. Powieść. Warszawa, Geb. i Wolff.

Berent Wacław. Pisma. T. VI i VII. Żywe kamienie. Warszawa, Geb. i Wolff.

Bąkowski Stanisław. Ku przełęczy. (Poezje). Poznań 1933. Księg. J. Dippla.

Ułaszyn Henryk Prof. Un. Z księgi klerykalizmu w Polsce powojennej. Poznań 1933. Nakładem Związku Pol. Młodz. demokr. Str. 48.

Księgarnia F. Hoesicka w Warszawie wydała nowości:

Kotarbińska Lucyna. Z za kulis teatru. Wspomnienie i refleksie. Str. 284 i portrety.

Lutosławski Wincenty. Jeden łatwy żywot. Str. 352.

Wrzos Konrad. Oko w oko z kryzysem. Reportaż z podróży po Polsce. Str. 378.

Makowski Wacław. Rewizja umowy społecznej. Str. 83.

Gart Paweł. Zachorowałem. Powieść.

Brzostowska Janina. Bezrobotni Warszawy. Powieść.

Archiwum kryminologiczne. Założył W. Makowski.

Gentile Giovani. Źródła i doktryna faszyzmu. Str. 63.

Manteuffel Marjan. Kapitalizm, socjalizm i katolicka doktryna społeczna na tle katastrofy świata. Str. 165.

Helsztyński Stanisław. Księga Ozeasza (Poezja). (Września) 1933. Bibl. „Wici Wielkopolskie“ III. Skład w Domu Książki Polskiej.

Linja. Kraków. Czerwiec 1933.

Koskowski Bronisław prof. Analiza kupilarna w zastosowaniu do oceny tożsamości i dobroci preparatów farmaceutycznych. Warszawa 1933. Nakład F. Heroda. Str. 63 i 9 tablic barwnych in 4°.

Świerzowicz Jan. Bibljografja prac Piotra Chmielowskiego (w 30-tą rocznicę zgonu, 1904—1934). Trzemeszno 1933. Nakładem autora. Str. 115 (Dyr. gimnazjum).

Przegląd Powszechny — lipiec, sierpień.

Pamiętnik Literacki. Lwów 1933. Roczn. 30. zesz. II. Ossolineum.

OFENSYWA

UNAMUNO POD BATEM SANCHO PANSY.

Wykwintny a natchniony poeta Wierzyński w swoich czarujących „Listach z Hiszpanji" unika jak najstaranniej dzisiejszej rzeczywistej rzeczywistości hiszpańskiej. Prześlicznie pisze o niebie, cudnie o ziemi, o skałach, katedrach, zamkach, kwiatach, owocach, zapachach, ale nic a nic „o czem pospolitość skrzeczy". I jakże temu możnaby się dziwić: Skądże to poeta-liryk, organizacja psychiczna idealistyczna, romantyczna, górna i chmurna ma się zajmować takim padołem płaczu i zgrzytania zębów jakim jest Espana rządzona przez roztyłego, gruboskórnego czerwonego z passji jak piwonia, czy jak piwowar, Sancho Pansę? Cóż natchnionego marzyciela mogą obchodzić potępieńcze partyjników swary, skrytobójstwa, morderstwa i rzezie? Barbarzyńskie demolacje prastarych arcydzieł sztuki architektonicznej, wścieklizna Wandalów, orgje ochlokracji? Można przecież na życie patrzeć z werand pięknych hoteli, z okien restauracyjnych Pullmanów, z madryckiej kawiarni artystycznej „Grania el Henar" i wtedy widzi się tylko same Piękno i efektowną Przeszłość i wtedy Teraźniejszości można nawet nie dostrzedz... tembardziej, gdy nęcące zachwalanie *kultur kampf*'u i wspaniałych, genialnych reform oświatowych (kino dla chłopów! radio dla góralil!) najstanowczej na tem miejscu (G. P.) zakazane. No a jak zakaz to zakaz. W obecnej dobie duchy wolne, duchy wyzwolone, duchy niezależne, nieprzejednane, dość szybko zastosowują się do zakazów i rozkazów, byle nie utrudniać, byle nie utrudniać życia i innym i sobie. Walka im nie pachnie. Kawior im pachnie, tembardziej, że tak go dużo w sowieckiem poselstwie. Dla kawioru astrachańskiego gotowi cierpieć za miljony, kochać robociarza (wszelki postęp), brzydzić się burżuazją i gardzić małomieszczaństwem i mieć wstręt do kułactwa i odrazę do antysemityzmu (najlepszy krawiec Zaremba); podróżować też lubią ale całkiem słusznie nie tak jak poprzednia generacja (Cygany) za oszczędzone grosiwo, jeno wygodnie po pańsku, za pieniądze pańskie, państwa czy państw wogóle.

Z tem wszystkiem mniejsza!

Ale jak można było nie dostrzedz Unamuny?

Co jakiś czas komuś fundują Hiszpanię a nikt jakoś nie może tam znaleźć Unamuny! Cyda owszem, Filipa II także, ale w żaden sposób żyjącego, działającego Unamunę. Kilka lat temu nie mieli radykalchasy dość superlatywów dla autora najgłębszej analizy i egzegezy donkiszotymu i stawiali go tuż obok Papiniego. Teraz dla tych naszych boyowników ze Sybaris nadwiślańskiej i Papini i Unamuno nie istnieją. Wypadli z łaski. I Unamuno wypadł z łaski. *Conspiration du silence.* Czyżby się co zmieniło? Czy przestał być reinkarnacją Don Kiszota? czy przestał walczyć i wojować z wiatrakami? czy poszedł na rządowe tłuste pensje? na utrzymanie Sancho Pansów? czy mu pachną Pullmany i Nepmany? Kawior? protekcje? dyspozycyjne fundusze? czy zrzucił skórę, czy się wylenił, czy się poprostu mówiąc ześwinił?

Otóż właśnie on jeden: nie. I drugi Jacinto Benavente (nagroda Nobla): nie. Inni tak. Inne literaty (jest ich w Hiszpanji 500) porobiły błyszczące karjery przy Sancho Pansie. Louis de Zuluetta ministrem, Manual Azana premierem, Oxfordowcy: Madariaga w Genewie, Rajmond Perez y Ayala ambasadorem w Londynie. Inni, nawet podrzędniejsze skryby na tłustych dziennikarskich pozycjach w rządowem „Sol", w żydowskiem „Imparcial", w wolnomyślnych brudnych jak ściery brukowcach naczelnymi szefami, przez rząd Sancho Pansy futrowanymi.

Unamuno nic nie przyjął od swych politycznych „przyjaciół". Nadal został zwyczajnym profesorem wszechnicy w Salamance. I nadal mu się dalej wszystko wszędzie niepodoba. Nadal stale zakłada swoje: liberum veto! Ani tandetne sukcesy ani postępy (z pieca na łeb) całkiem mu nie imponują. Była dyktatura Primo de Rivery, secundo jest teraz dyktatura Sancho Pansy, to jest zgraji ordynarnych poziomych, plugawych, zachłanych materjalistów-klasowców, kartelu, zezwierzęconych, zdziczałych ateistów, tryumfalnie człapiących na osłach i mułach Marxoskiej doktryny o której półanalfabety, półinteligenty, wałkoniokrady literalnie niemają też żadnego pojęcia. Aby sobie nadać poloru i nymbu Europejczyków, trupa Azany „raz po raz sprowadza jakiegoś wielkiego Europejczyka" w guście: Erenburga, Maurois, Vandervelde, Sauerweina lub nawet całe wagony reporterów *(Patronato de Turismo)*. Naśladują w tem bolszewików, Meksykanów, Austrjaków i t. p. Normalnych płacących turystów już tam w wolnomyślnym paszaliku Sancho Pansy niema na lekarstwo. „Profesor" Unamuno z żadnym z tych gości Sancho Pansy ani widzieć, ani rozmawiać nie chciał. Zamknął się. Kiedy teraz (w lipcu) odsłaniali pomnik najsłyniejszego malarza satyryka-portrecisty Goyi (y Lucientes), pierwszy znawca Goyi Miguel Unamuno na ceremonię w której pod dziełem Cristabala wygłupiali się w oracjach protektorzy podpalaczy i orędownicy grabieżców, złodzieji, wywłaszczeńców oczywiście nie poszedł. Wierny swemu „światopoglądowi" pragmatysta, deista ale zawsze Bask, mistyk i „krajan" świętego Ignacego z zamku Loyola, właśnie w imię staromodnej tolerancją liberalizmu, humanitaryzmu najstanowczej przeciw brutalnej, chamskiej i głupiej ustawie o kongregacjach protestował i terror większości parlamenckiej najkategoryczniej w hiszpańskiej prasie (i w Barbussoskim „Mondzie" paryskim) potępił. Kiedy na prapremierę Cordobańczyka... Seneki, na „Medeę" graną w miasteczku Merida (Estramadura) w tłomaczeniu Unamuny zjechał i premier Azana, aby z Don Kiszotem z Salamanki jednak się zetknąć, „twardy" nieprzystępny, kościsty „rycerz" o smutnym obliczu" nie tylko z premierem się nie przywitał ale exgrafomana nawet nie dostrzegł...

Rewanżując mu się i za ten afront trupa Sancho Pansy zaryzykowała wreszcie kompletnie śmieszną zemstę. Właśnie najpoważniejszy polityczny klub w Hiszpanji, umiarkowanie demokratyczne „Atheneum" demonstracyjnie zamianował go swym prezesem (poprzednio był premier Azana)...

I wtedy zebrały się nocą wielgą kupą „czerwoniaste Myrmidony" z parlamentu i z rządu, kartel karjerowiczów w pełnym składzie (lipiec, 35% Celsiusza w cieniu Tamarysek). Widocznie mocno przedtem zalawszy pały zdecydowały pały, że M i g u e l U n a m u n o z d r a d z i ł r e p u b l i k ę, że Miguel Unamuno jest wrogiem republiki, ze Miguel Unamuno jest po stronie reakcji i t. p.

Odpowiednio zredagowany paszkwil, manifest wysłano do Salamanki i ogłoszono w prasie.

Tak się tam w Hiszpanji wypowiedziała powszechna dziś w Europie „*nostalgie de barbarie*".

Co z tym dokumentem gromadzkiej *imbecilité* i stadowej niepoczytalności pocznie sobie wielki myśliciel i reformator niewiadomo.

Że przed hołotą nie ustąpi ani o piędź, ani o piątkę ziemi to rzecz pewna. Cały to człowiek! *Todo un hombre.*

ADOLF NOWACZYŃSKI

W ROZMÓWNICY

Z powodu wzmianki o teozoficznym charakterze literackiego tygodnika „Zet", uczynionej przez Sępa w artykule „Forpoczty masonerji w Polsce" (nr. 31 „Myśli Narodowej"), odezwały się zgodne w treści i formie protesty ze strony współpracowników i najbliższych przyjaciół tego pisma z wymówkami pod naszym adresem, że posądzamy redaktora „Zetu", p. Jerzego Brauna o jakikolwiek związek z organizacją masonerji i że nie rozróżniamy naukowego charakteru studjów Tow. Hoene-Wrońskiego i Brauna od niepowołanych tłumaczy pism tego filozofa. Listy takiej treści nadesłali: pp. Paulin Chomicz, Elżbieta z Budzyńskich Starostowa, Mirosław Starost, Tadeusz Urbański, H. Jaźwińska, Czesław Jastrzębiec - Kozłowski, Hanna Dobrzańska.

*

Z powodu artykułu „Forpoczty masonerji" (nr. 32) pan dr. Antoni Beaupre, naczelny redaktor „Czasu", wiceprezes Związku dziennikarzy polskich, nadsyła nam list z następującem oświadczeniem: „Nie mam i nigdy nie miałem nic wspólnego z masonerją; nie należę i nigdy nie należałem do żadnej organizacji do niej zbliżonej".

*

„Epoka", której redaktorem jest p. Wasowski, robiąc minę z głupia frant, prostuje wiadomość „Myśli Narodowej", że p. Wasercug został wtajemniczony w arkana wolnomularstwa w Paryżu. P. Wasercugowi chodzi głównie o to, że całował mopsa (ceremonjał rytualny podczas przyjmowania do loży), ale nie w Paryżu. Ależ, dobrze, zgoda, nie będziemy się sprzeczać o to, gdzie p. Wasercug całował mopsa. Fakt, że jest mason, czemu nie zaprzeczy, jak robią niektóre aryjczyki ze względów dyplomatycznych. Pan Wasercug nietylko jest mason, ale i Żyd, więc dyplomatyzować nie potrzebuje. On czasem tylko, jak każdy faktor, wysuwa na front hrabiego.

*

Publikacja „Myśli Narodowej" o masonach skłoniła p. Wasercuga-Wasowskiego do oświadczenia, że od kilku już miesięcy wystąpił z Polskiej Ajencji Publicystycznej, w której grał pierwsze skrzypce. A na dowód, iż PAP nie mógł ulegać wpływom masońskim p. Wasercug - Wasowski przytacza fakt, że prezesem PAP jest hr. W. Rostworowski.

Przypomina się nam ludowy pogwarek: — Masz cyganie świadki? — Mam, żonę i dziatki.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM